Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena zł 1.20

W NUMERZE:

wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok X — Warszawa, dnia 25 października 1953 r. — Nr 43 (429)

JAN PODGÓRECZNY

Wzmóc pracę w gromadzie

Od kilku tygodni ukazują się w prasie wypowiedzi o Radach Czytelnictwa i Książki. Głosy te należy ocenić pozytywnie, gdyż są to głosy aktywu społecznego — ludzi bezpośrednio związanych z tą pracą.

Bezwład rad czytelniczych lub czysto formalne ustosunkowanie się rad narodowych do spraw czytelnictwa, jest szczególnie niepokojące na wsi, gdzie zapotrzebowanie na słowo drukowane nie jest jeszcze tak mocno rozbudzone, by ludzie sami domagali się książki.

Aparat prezydiów GRN przeciążony sprawami administracyjnymi i akcjami, zagadnienia czytelnictwa, książki, biblioteki spycha na drugi, czasem nawet na ostatni plan. Rzadko zjawia się w gminie ktoś z pracowników Wydziału Kultury PRN, by na miejscu poznać potrzeby gminy i pomóc w rozwiązywaniu trudności. Jeżeli czasem taki delegat dotrze jakimś przypadkowym środkiem lokomocji do gminy, to coś mu się tam obieca — i na tym się kończy. Prezydium PRN, gdy chodzi o Rady Czytelnictwa, czy Komitet „Dni", lub Komisję Konkursową, mechanicznie spycha te sprawy na kierownika Wydziału Oświaty i kierownika Biblioteki Powiatowej. W gminie automatycznie obarcza się tymi społecznymi funkcjami nauczyciela, bibliotekarza i kierownika świetlicy. Natomiast gorzej z tym już jest w gromadzie, gdzie do komisji czytelniczych powoływany jest kierownik szkoły, prowadzący Punkt Biblioteczny i pełnomocnik gromadzki do spraw kulturalnych. O takim aktywie gromadzkim jest mowa np. w instrukcji na IV Etap Konkursu Czytelników Wiejskich, wydanej przez Prezydium Centralnej Komisji Konkursu Czytelniczego.

Ale najczęściej cały aktyw gromadzki — to nie 3 ludzi, lecz jeden. Gdyby ktoś chciał przedstawić graficznie schemat organizacyjny Komisji Konkursowej IV etapu, to na szczeblu centralnym umieściłby aż 16 potężnych central i ministerstw, a na dole w gromadzie — jednego nauczyciela. Oczywiście ważna jest inicjatywa, opracowanie wytycznych, instrukcje itd., ale wydaje się, że najważniejsza sprawa — to całoroczna praca z czytelnikiem, prowadzona właśnie tam w gromadzie. Dążeniem inicjatorów powołania Rad Czytelniczych i inicjatorów dni oświatowych było, aby wokół aparatu oświatowo - kulturalnego zgromadzić a k t y w s p o ł e c z n y. W praktyce jednak często bywa, że w gromadzie całą robotę Rad Czytelniczych przerzuca się na nauczyciela lub bibliotekarza.

Tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy miały zwerbować a k t y w s p o ł e c z n y, którego zadaniem jest pomoc dla aparatu państwowego w prowadzeniu całorocznej pracy oświatowej: księgonoszy, kolporterów, agitatorów, lektorów głośnego czytania, kierowników zespołów dobrego czytania itp. Tymczasem ze sprawozdań powiatowych R. Cz. i K. dowiadujemy się o ilości kiermaszy, wystaw, pogadanek, a o tej najważniejszej sprawie — cicho. Ileż jest takich Powiatowych Rad Czytelnictwa, które po 7 czerwca nie zainteresowały się akcją czytelnictwa i upowszechniania książki! Ileż Powiatowych Rad Narodowych powołało na pełnomocników nauczycieli lub sołtysów — zamiast wyszukać n o w y c h l u d z i! Również mianowanie w powiecie czy gminie przewodniczącym Rady Czytelnictwa przewodniczącego organizacji masowej, związku, czy stowarzyszenia — nie jest słuszne. Przed okresem jesienno-zimowym trzeba przeprowadzić korektę składu osobowego Rad Czytelnictwa i Książki oraz pełnomocników gromadzkich. Do pracy na gminnym i powiatowym szczeblu trzeba wciągać l u d z i n o w y c h, nie przeciążonych pracą, którzy sprawami czytelnictwa i kultury mogliby się zająć bez reszty.

Nie wystarczą tu pisma urzędowe, potrzebny tu głos p r a s y c o d z i e n n e j.

Trzeba przedstawić czytelnictwo i ruch amatorski w gromadzie, gdzie osamotniony nauczyciel boryka się sam, obciążony dziesięcioma funkcjami. Trzeba pokazać je również w takiej gromadzie, gdzie do akcji czytelniczej włączył się i r a d n y, i c z ł o n e k e g z e k u t y w y, i — co najważniejsze — wyróżnieni w III etapie Konkursu c z y t e l n i c y.

Dopiero przy takim umocnieniu pracy w gromadzie, można będzie mówić o właściwej organizacji IV Etapu Konkursu Czytelniczego.

Jan Podgóreczny

WACŁAW PALIK

KOLCHIDA — WASZA I NASZA

WYPOWIEDZI czytelników o książkach są zazwyczaj ciekawe dlatego, że czytelnik — w przeciwieństwie do krytyka — pisze nie tyle o książce, ile pod jej wpływem. Książka — to bodziec, list zaś czytelnika — to obraz myśli i marzeń,



decyzji i czynów, jakie w nim zbudziła i uruchomiła książka.

Takie właśnie listy, przeglądałem ostatnio. Napisali je chłopi po przeczytaniu **„Kolchidy" Konstantego Paustowskiego.**

Dawno już nie widziałem ziarna, które posiane w serca czytelników, dałoby tak obfity i wspaniały plon. Wzięła ich „Kolchida". A jakże miała nie wziąć, skoro rozwija opowieść **o przeobrażeniu przyrody?** Cóż dla rolnika milszego nad kalendarz rolniczy, nad broszurę agronomiczną? A cóż wspanialszego nad poezję, która jego kalendarz roziskrza pięknem i podnosi do rangi dzieła sztuki?

Jedno wypada zastrzec. Trzeba było Polski Ludowej i trzeba było kilku lat władzy ludowej, aby pracujące chłopstwo w produkcji rolnej mogło wyzwolić się na tyle z zacofania i przesądów i na tyle strząsnąć spekulacyjne nawyki handlarza, żeby w pełni oddać się **sztuce rolniczej.** Tacy to chłopi spotkali się z „Kolchidą".

„Od fińskich chłodnych skał do płomiennej Kolchidy" — jak pisał niegdyś Puszkin, tam ich przeniosła książka.

Nie są to już dawni emigranci, za ocean wędrujący za chlebem — ciemni, bezradni i ogłupiali. Stanęli na brzegu Kolchidy mocną stopą gości-przyjaciół i mądrze, po gospodarsku się rozglądają.

Wielkie prace melioracyjne — kanały, śluzy, wały — nie obce to, nie trudno pojąć.

Kraina bagnami zamulona, stawisko torfowe bez gleby, pustynia śmierci dla roślin, gdzie ptaka nie ujrzysz, a tylko nietoperz pomyka bezszelestnie, gdzie olcha panuje, choć podzwrotnikowy klimat, a drzewa tak kruche, że dziecko je łamie — i ten obraz nie obcy polskiemu chłopu. Nie obcy w przenośni, kiedy go przełożyć na dawną nędzę jałowych zagonów, na kataklizmy w górskich regionach.

I nie obca rolnicza inwentaryzacja roślin, jaka przesuwa się przez opowieść Paustowskiego. Któż ma z większym zaciekawieniem od chłopa-rolnika czytać o tysiącach roślin przemysłowych, polowych, leśnych i owocowych, jakie aklimatyzują uczeni i agronomowie radzieccy na Kolchidzie, wydartej niszczycielskiemu sojuszowi klimatu podzwrotnikowego i przyrody zostawionej dotąd sobie?

Ale „Kolchida" Paustowskiego — to przecież nie broszura rolnicza. Grunt ma z nią wspólny, metę jednak ustawia tak daleko, że aby do niej dobiec, chłop-czytelnik wyzwala się przy lekturze z ciasnego praktycyzmu, z tępej trzeźwości i wpływa, sam nie wiedząc kiedy, na przestwór oceanu **marzenia.** O tym marzeniu warto pomówić.

Zacznijmy więc od bodźców.

*

Jaka była Kolchida? Cały kraj — to lustro błotne, gładki, jak talerz. Rzeki Rion, Kaparcza, Ciwa i Chiopi zatapiały ziemię, przy spadku do morza ledwie na 2 m. „Kolchida ma klimat Japonii południowej i Sumatry, obfitość ciepła — a tymczasem to pustynia malaryczna, coś w rodzaju katorgi zwrotnikowej, jak Nowa Kaledonia". Z powodu moczarów roślinność tu niezmiernie uboga. Rosła olcha i rosiczka, ta sama co w tundrze polarnej.

Do takiej krainy przypuściła szturm nauka radziecka i wola ludzi radzieckich, aby przeobrazić przyrodę i Kolchidą zaćmić Jawę i Cejlon.

W tych wymiarach daleko już za nami została broszura i kalendarz rolniczy.

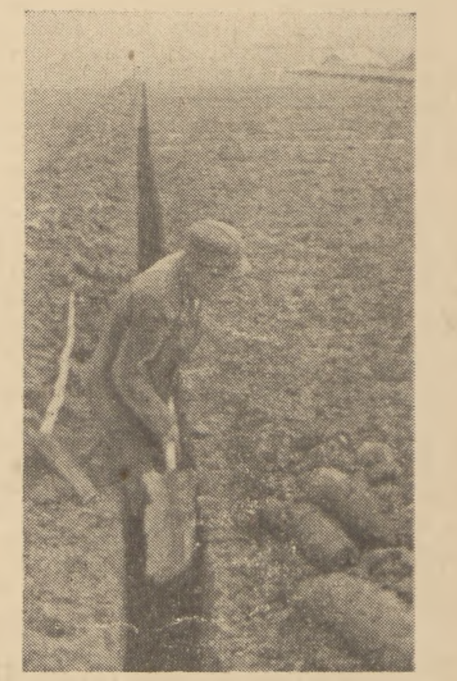
Oto — „kolmatacja" słowo niezapomniane, zwiąże je raz na zawsze z nazwiskiem (w opowieści) uczonego Pachomowa. Kolmatacja — system osuszania błota za pomocą zatapiania go wodą mulastych rzek. Nasypy obejmują wielkie przestrzenie, prowadzą do nich kanały od większych i mniejszych rzek, woda niesie muł, dwukrotnie bardziej obfity i urodzajniejszy od mułu Nilu, zawiera dwa razy tyle fosforu i azotu co egipski. Kiedy rzeka wylewa, śluzy wypuszczają z ramion wałów wodę, a na dawnym lustrze osadza się muł życiodajny.

Chłop to rozumie, ale pojmując, doznaje zawrotu głowy, jakby baśń czytał.

Kolmatację przeprowadza (w opowieści) inż. Gabunia. Wielkie prace melioracyjne wśród bagien zalewów i malarii. W tym dziele towarzyszy mu czytelnik polski, jak rodzony brat; pot ściera z czoła, trwoży się, przejmuje, zespala, wczuwa — a przecież to nie jego gospodarstwo, nie jego pole. Ale poezja jego najskrytszych marzeń, **jego przyszłości.** Siła artystyczna opowieści tu, przy lekturze, każe mu się już zbratać z przyszłością, od której jeszcze w swojej własnej praktyce odstaje.

Bo cóż pisze Emil Stypuła? (Tarnawa Dolna, pow. Wadowice):

„Takie gigantyczne prace nad zmianą klimatu i osuszenia olbrzymich terenów są **możliwe tylko w ustroju socjalistycznym,** gdzie nauka i technika skierowane zostały



do pracy nad podniesieniem stopy życiowej mas, bez bogacenia się jednej klasy i wyzysku człowieka przez człowieka.

Takie wielkie prace, w których toczy się walka z żywiołem, w których grozi śmierć i straszliwe choroby, wymagają ludzi **wychowanych przez Partię,** aby służyli sprawie **całej Ojczyzny** i mogli wytrwać na posterunku dla dobra narodu i przykładu dla całej ludzkości".

A co pisze Andrzej Białasek? (Zborowice, pow. Tarnów):

„Na przedsięwzięcie takich robót może sobie pozwolić **dopiero ustrój socjalistyczny,** który dba o każdego człowieka i jego lepszą egzystencję. Dopiero w państwie socjalistycznym ludzie **nie zadowalają się tym, co zrobiła i daje przyroda, ale sami szukają środków, sami tworzą pomysły,** jakby przystosować i wykorzystać przyrodę dla rosnących potrzeb społeczeństwa. Dlatego w Związku Radzieckim tworzy się takie warunki egzystencji o jakich się nie śniło dawniej ludziom w zabobonnych wierzeniach".

Jeszcze jeden bodziec. Oto królestwo Niewskiej. Na osuszonej i przeobrażonej Kolchidzie sadzi ona eukaliptusy. Pięcioletni eukaliptus dostarcza drewna więcej niż rosyjskie dwuwiekowe jodły i świerki. Stary drzewostan sięga wysokości katedry kolońskiej (150 m). Drzewo niezniszczalne. „Moskwa wybrukowana eukaliptusami"! — marzy Niewska. Eukaliptus osusza błota, jego zapach zabija komary i malarię — „drzewo życia".

Sadzi Niewska pomarańcze tureckie i kalifornijskie, śliwodaktyle o dwukilowym owocu, fejchoę, której owoc leczy sklerozę, zawiera dużo jodu, cytrusy z witaminą C, środek przeciw szkorbutowi, ramię — pokrzywę włókniastą (z 1 ha daje ona 18 kg włókna błyszczącego i mocnego jak jedwab), rośliny tungowe, dostarczające tłuszczu, drzewa laurowe, których liście pokrywa warstwa tłuszczu, (w Chinach wyrabiają z niego mydło i świece). Z tych drzew wydobywa się kamforę. Sadzi ryż japoński i pszenicę indyjską. Na Kolchidzie można wyhodować 15 tysięcy roślin zwrotnikowych i podzwrotnikowych.

*

Przenieśmy się teraz do naszych czytelników. Białasek mieszka we wsi krakowskiej, Stypuła na Podhalu. Przeczytali „Kolchidę" i o czym zaraz pomyśleli? O własnym kraju i narodzie, **o Polsce.** „Kolchida" — „takie gigantyczne przeobrażenie klimatu i przyrody", zaapelowała do ich dumy narodowej i rozbudziła tę dumę.

„U nas w Polsce — napisał Białasek — też się dzieją podobne rzeczy, bo zalane przez okupanta obszary nad morzem, jak Żuławy, zostały osuszone, przez co przybyło tysiące hektarów łąk i pól uprawnych. A wielkie melioracje w dolinie Noteci i na Polesiu Włodawskim? A co najważniejsze — przebudowa ustroju rolnego przez spółdzielnie produkcyjne, które opierają się na świadomości chłopa, że uprawy mechaniczne połączone z nauką agrotechniczną przyniosą największe plony... Gdyby nie budowa przemysłu w naszym państwie długo by jeszcze trwał przestarzały ustrój rolny, gdyż rolnictwo u nas było bardzo zacofane."

„I u nas w Polsce — pisze Stypuła — Front Narodowy w swym programie planuje potężne budowle wodne, które przez wykorzystanie sił naszych głównych rzek będą oświetlały wioski, nawadniały pola, poruszały maszyny w fabrykach, a

(Dokończenie na str. 7)

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

MIR

To prasłowiańskie ciche słowo,
Znane polszczyźnie od stuleci,
W tobie, rosyjska dźwięczna mowo,
Jak gwiazda ludów dzisiaj świeci.

Mir — światło zapalone w mroku.
Mir — plony pracy naszej dalszej.
Mir po rosyjsku — świat i pokój —
I cały świat o pokój walczy!

Język rosyjski jednocześnie
Określa słowem tym gromadę,
Zbiorowość, co w swe ręce weźmie
Władzę, by świat zakwitnął sadem.

Mir — walka przeciw siłom mroku.
Mir — kres wojennym zbrodniom dalszym —
Niech żyje Mir, niech żyje Pokój
I świat, który o Pokój walczy!

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI

WNIOSKI DLA AKTYWU

W całym kraju prowadzona jest szeroka kampania polityczna w związku z przyśpieszeniem realizacji obowiązkowych dostaw zboża dla państwa. Skup bowiem przebiega nierównomiernie i obok dużych osiągnięć przeszło 80 przodujących powiatów obserwujemy poważne zahamowania i braki.

Wśród pewnej części aktywu politycznego, partyjnego i innych organizacji dało się w ostatnim roku zauważyć niedocenianie drobnej gospodarki chłopskiej, lekceważenie jej roli ekonomicznej w okresie przejściowym i politycznej wagi dla utrwalenia sojuszu robotniczo-chłopskiego. Niektórzy działacze uważali, że już nie można podciągnąć na wyższy poziom gospodarki chłopa indywidualnego, że na tej drodze nie ma żadnych szans zmniejszenia dysproporcji między rozwojem przemysłu a rolnictwem. Oczywiście takie stanowisko jest z gruntu fałszywe. W kraju mamy wprawdzie już 8.000 spółdzielni produkcyjnych, ale obejmują one około 20% ogólnej powierzchni uprawowej dawnej wsi indywidualnej. Zjazd szczeciński przodujących chłopów, wykazał, jak potężne jeszcze rezerwy produkcyjne kryje gospodarka indywidualna. Trzeba je tylko widzieć i uruchomić. Nie można ich jednak ani widzieć, ani tym bardziej uruchomić, jeżeli prowadzi się błędną politykę w stosunku do chłopów indywidualnych, jeżeli nie bierze się pod uwagę ich potrzeb i trosk osobistych. Nie można ich widzieć, ani tym bardziej uruchomić jeżeli nie prowadzi się gruntownej i konkretnej pracy polityczno-wyjaśniającej wśród chłopów.

Oto przykład złej pracy aktywu i jej skutków politycznych. W gminie Dzikowiec pow. Kolbuszowa aktyw gminy drogą administracyjną, bez pracy politycznej chciał „na siłę" stworzyć spółdzielnię produkcyjną w tej wielkiej wsi, spółdzielnię złożoną z kilku urzędników i kilku chętnych gospodarzy. Zespół tworzono, omawiano i organizowano nie na miejscu w terenie, lecz w gminie. Nie starano się przekonać kobiet wiejskich podburzanych przez wrogą, kułacką plotkę. Nie ograniczano wyzysku kułaków i nie broniono przed nimi małorolnych — co rozzuchwaliło wrogie elementy.

Natomiast wśród aktywu gminnego, a szczególnie w GRN znaleźli się niektórzy kumotrzy i poplecznicy kułaków — biurokraci, nie liczący się z potrzebami chłopów. Oni to „kryli" bogaczy i bronili ich interesów ekonomicznych. Pozwalali na dzielenie fikcyjne gospodarstw po to, by zmniejszyć wymiar podatku „dla biednych kułaków"; zmieniali ziemię kułacką na niższe klasy; pozwalali nawet na ukrywanie części obszaru takich gospodarstw. Wszystko kosztem biedoty i średniaków.

Wynikiem takiej polityki były setki skarg i zażaleń chłopskich, odwołań i próśb o rewizję podatków, klasy gruntów, ilości ziemi.

Podania te leżały miesiącami nie załatwione. Często na kwitach podatkowych dość dowolnie zmieniał się wymiar podatku na znacznie wyższy.

A gmina należy do terenów trudnych, mocno zacofanych gospodarczo (stare tradycje „nędzy galicyjskiej") i politycznie (tradycje prawicowej i oportunistycznej ideologii ludowcowej oraz silny klerykalizm zwłaszcza u kobiet wznowiony przez rzekomy „cud" na Łysej Górze koło Lipnicy w 1949 r.).

Aktyw nie dostrzegł walki klasowej i roboty wroga klasowego. Odwrotnie: tolerował biernie, a w osobach niektórych „urzędasów" pomagał aktywnie w jej realizacji. Wynikiem było niedostrzeganie istotnych sił wśród mało- i średniorolnych chłopów, niedostrzeganie w nich sojusznika klasy robotniczej, ich potrzeb, żądań i postulatów.

Brakło tu szeroko prowadzonej pracy polityczno-wyjaśniającej. Odłogiem leżała praca kulturalna, choć w latach ubiegłych czynna była świetlica gminna i LZS.

Partia potrafiła wykryć i częściowo naprawić błędy. Ale ciążą one jeszcze na gminie, uwidoczniając się choćby w tym, że nie wykonała ona dotąd planu skupu.

Trzeba więc wyjaśniającej pracy aktywu, więcej troski o potrzeby mas pracującego chłopstwa, trzeba powiększać kadry agitatorów.

Przykładem takiego agitatora, który wyrósł w bitwie o chleb, może być Jan Główczyński — przodujący chłop indywidualny ze wsi Biały Kościół (pow. Olkusz).

Gdy kułacy puścili plotkę: „urodzaj kiepski, nie ma z czego odstawić" chłop-agitator: „A ja mówię: jest. I zaraz daję za przykład — siebie. Nie urodziło? Bujda! Mam 2,80 ha. Ziemia jak u innych. Zbiory u sąsiadów były nie gorsze od moich, u niektórych nawet lepsze, a ja zebrałem z 50 arów (na które wysiałem 100 kg ziarna) — 14 q dorodnej pszenicy „Wysokolitewki".

Kułacy, aby zniechęcić chłopów do podnoszenia produkcji rolnej, rozsiewali też inną wersję wrogiej plotki: „Ziemia słaba, wyrodzona". Główczyński demaskował to bzdurne twierdzenie: „U mojego ojca hektar nie urodził tyle ziemniaków, co u mnie morga, a więc jak obliczyłem wzrost wydajności, od tego czasu wyniósł 100%. Zyskałem to m. in. przez staranne nawożenie: nawozem, obornikiem, kompostem, wyskrobaną ziemią z obory".

Zadaniem aktywu jest organizować przodowników rolnictwa, przodowników skupu i kontraktacji do czynnej agitacji wśród chłopów.

Trzeba wyjaśnić polityczny sens obowiązkowych odstaw podkreślając, że leżą one w interesie całego narodu, a więc i chłopów pracujących — i tylko kułacy nie są zainteresowani gospodarczo w ich realizacji, bo zawsze żerują na zakłóceniach rynkowych i niedoborze produktów żywnościowych w mieście.

W agitacji dotychczasowej na wsi często brakuje tego elementu. Mówi się często: „Dla robotników, dla miasta" Ale trzeba dodawać zawsze: „Dla dobra wsi pracującej, wbrew kułakom i spekulantom".

Przykładem mądrej pracy politycznej i agitacyjnej, wykorzystującej wszystkie najatrakcyjniejsze formy pracy kulturalnej, może być aktyw z powiatu Gryfice (woj. Szczecin). Dzięki tej pracy w dniu 10.X. powiat gryficki, jako pierwszy w województwie, przekroczył 90% rocznego planu odstawy zboża. Gdy porównać pracę aktywu powiatowego, o której pisze Bolesław Matysiak, I sekretarz KP w Gryficach, z powszechnie znanymi wypaczeniami sekciarsko-lewackimi, jakie miały miejsce parę lat temu na terenie tego powiatu — od razu widać skuteczność metod dobrej, politycznej roboty.

Aktyw partyjny, a także ZSL, ZMP, ZSCh, starały się wytworzyć atmosferę współzawodnictwa wśród chłopów, atmosferę walki o HONOR gromady. Odwoływano się do patriotyzmu chłopów. I wtedy gromada Cerkwica na cześć dożynek rzuciła hasło do współzawodnictwa. W praktyce zastosowano politykę ścisłej więzi spółdzielców i indywidualnych. Spółdzielcy z Przybiernowa i Rzęskowa pomagali w omłotach chłopom indywidualnym. Organizowano spotkania aktywu przodujących spółdzielni i gromad z mieszkańcami wsi opóźniających się. To mobilizowało indywidualnych.

Aktyw partyjny zmobilizował do czynnej pracy aktyw kulturalny. Plakaty i „Błyskawice" popularyzowały przodujących, piętnowały opieszałych, co niejednokrotnie dawało rezultaty. Dwa radiowęzły w Gryficach i Trzebiatowie regularnie nadawały audycje — komunikaty z frontu walki o chleb. Przemawiali przed mikrofonem przodujący chłopi, wzywając imiennie opornych do realizowania odstawy. Wiele pomogło nauczycielstwo. Dzieci ze wsi Paprotno, Saldno pisały listy do przodujących i opornych chłopów. Wynikiem tego jest powiększenie się grona aktywu politycznego, wzrostu szeregów partyjnych o najbardziej świadomych przodujących chłopów.

Atmosfera walki o plan skupu wzmaga się. Gromada Stary Przylep (pow. Wierzbno) rzuciła hasło do współzawodnictwa z okazji 36 rocznicy Rewolucji Październikowej. Wiele gromad podejmuje podobne zobowiązania: 1) wykonania skupu, 2) wykonania akcji siewnej i wykopkowej.

Aktyw polityczny i idący z nim ramię w ramię aktyw społeczno-kulturalny, powinien mądrze pokierować tą cenną inicjatywą mas chłopskich.

Bronisław Gołębiowski

ZBIGNIEW SZAROŃ

MAC CARTHY W ROLI INKWIZYTORA

Senatorem, który w ostatnich dniach walki o życie Rosenbergów najgłośniej domagał się ich śmierci, był Mac Carthy. Politykiem, który pierwszy pochwalił publicznie na łamach dzienników nowojorskich prowokację lisynmanowską, mającą storpedować rozejm w Korei, był Mac Carthy. Na czele „stałej komisji śledczej senatu", która w dziele faszyzacji USA konkuruje ze sławetną komisją Izby Reprezentantów „do badania działalności antyamerykańskiej" stoi Mac Carthy. Człowiekiem, który zamierza w 1956 r. kandydować na stanowisko prezydenta USA przed którym drży cała Ameryka — jest Mac Carthy.

Mac Carthy wypłynął na mętne wody amerykańskiej polityki 9 lutego 1950 r. Stało się to po jednym przemówieniu, które wygłosił w mieście Wheeling, oświadczywszy w nim ku najwyższemu zdumieniu słuchaczy, że w Ministerstwie Spraw Zagranicznych USA pracuje 205 członków... Partii Komunistycznej! To wystarczyło, aby młody, „prawdziwie amerykański" politykier ze stanu Wisconsin zwrócił na siebie uwagę pewnych wpływowych kół USA, tzn. możnych koncernów przemysłowych i banków.

Mac Carthy oskarża do dziś, szantażuje i terroryzuje, choć nie udało mu się, jak dotąd, wykryć w Ministerstwie Spraw Zagranicznych USA ani jednego komunisty. W międzyczasie pan senator Mac Carthy brał subwencje (czytaj: łapówki) na „walkę z komunizmem" i zasilał nimi własne konto. W międzyczasie inna senacka komisja udowodniła mu oszustwa i afery. Sprawa oczywiście została zatuszowana. Zresztą, któryż z amerykańskich senatorów nie ma na sumieniu łapówek i afer?...

Dziś senator Mac Carthy — jeden z szefów FBI (amerykańskiego gestapo), mistrz w technice kłamstwa, szantażu i terroru, oszust i aferzysta —sprawuje w USA urząd „wielkiego inkwizytora". Śmieszny jeszcze przed trzema laty demagog, uosabia teraz groźną dla narodu amerykańskiego i dla pokoju świata politykę prześladowania wszystkiego, co postępowe — politykę faszyzmu.

Ostatnio Mac Carthy ustalił listę autorów i książek, które z jego polecenia są w Stanach Zjednoczonych zakazane. Listę tę publikuje Nr 481 francuskiego czasopisma „Les lettres françaises". Na liście Mac Carthy'ego, obok nazwisk pisarzy radzieckich, takich jak Ilja Erenburg i Maksym Gorki, figurują nazwiska postępowych pisarzy amerykańskich, takich jak Howard Fast, Albert Maltz i Theodore Dreiser. Znajdujemy tam również nazwiska klasyków światowej sławy: Guy de Maupassanta, Emila Zoli, Marka Twaina i Alberta Einsteina, słynnego twórcy teorii względności. Lista Mac Carthy'ego jest, oczywiście, bardzo obszerna.

Na tej liście Mac Carthy'ego znajdują się również książki amerykańskich pisarzy burżuazyjnych, takich jak Caldwell, Hemmingway i Steinbeck. „Wielki inkwizytor" umieścił więc na swojej liście nie tylko dzieła pisarzy postępowych, dzieła o ideologii postępowej, lecz również te utwory literackie, publicystyczne i naukowe, w których jest choć cząstka prawdy o historii, o Związku Radzieckim, o Stanach Zjednoczonych i o świecie. Bo Mac Carthy boi się dopuszczenia jej do świadomości czytelników amerykańskich. Woli ich ogłupiać przy pomocy szmiry o detektywach i zwyrodnialcach, z której się składa produkcja literacka USA.

Dla Mac Carthy'ego dzieła Guy de Maupassanta są antyamerykańskie, choć nie ma w nich słowa o Ameryce, a „Teoria względności" Alberta Einsteina zawiera „sympatie komunistyczne", choć wiadomo, że Albert Einstein nigdy takich sympatii nie wyrażał.

Co skłania rozwydrzonego amerykańskiego reakcjonistę do zakazywania dzieł kultury ludzkiej? Skrajna głupota, czy choroba psychiczna amerykańskich polityków, zwana forrestalizmem? Ani jedno, ani drugie. Po prostu faszyzm!

Cytowany numer „Les Lettres françaises" podaje i inną listę: tzw. „listę Otto", ogłoszoną we Francji przez hitlerowskich okupantów w 1942 r. Pismo stwierdza, że nie przypadkowo wiele pozycji z „listy Otto" znajduje się na liście Mac Carthy'ego.

Niewątpliwie Mc Carthy przez jakiś czas jeszcze będzie przewodniczył senackiej komisji śledczej i „udoskonalał" w niej metody sławetnego wodza trzeciej Rzeszy. Być może, Mac Carthy podpali Biały Dom i oskarży komunistów o podpalenie. W każdym jednak razie ostatnie słowo będzie należało nie do tego inkwizytora, lecz do narodu amerykańskiego.

Na przekór Mac Carthy'emu, Amerykanie będą czytali dzieła Howarda Fasta, Marka Twaina, Maupassanta i Gorkiego. Bo olbrzymia większość narodu amerykańskiego pragnie pokoju. Prawda, że wskutek działalności różnych Mac Carthy'ch naród amerykański źle się orientuje w polityce. Ale prawdą jest też, że dzięki Howardowi Fastowi i Paulowi Robesonowi dzięki ofierze Rosenbergów oraz dzięki milionom obrońców pokoju na świecie i w samych USA — naród amerykański zrozumie swe położenie i przepędzi pewnego dnia wszystkich „wielkich inkwizytorów".

Zbigniew Szaroń

TADEUSZ ORLEWICZ

Człowiek radziecki zmienia przyrodę



Na olbrzymich terenach europejskiej części południowo-zachodnich połaci Rosji carskiej powtarzały się co kilka lat klęski nieurodzaju. Głodowały tam miliony ludzi w latach 1891, 1911, 1912. Zasięg posuchy obejmował 30 milionów chłopów i biedoty miejskiej.

W pogoni za szybkimi zyskami obszarnicy i kupcy wycinali i grabili lasy, odsłaniając glebę na niszczące działania gorących wiatrów, wiejących z rozżarzonych pustyń Środkowej Azji. Niszczenie lasów wyjaławiało urodzajne, szerokie pasy czarnoziemu. Tam, gdzie na ginących w bezkresie obszarach szumiał step, gdzie koń zanurzał się po głowę w bujnej zieleni, ziemia stopniowo zamierała: posucha zamieniała ją w skamielinę, a deszcz rozbijał w popiół.

W jarzmie zagłady była ziemia i chłopstwo. Buntami Riazina i Pugaczowa chłopi zrywali się raz po raz do walki z rządami możnowładców. Ale walkę przegrywali. Nie było bowiem jeszcze siły, która by ich powiodła do ostatecznego zwycięstwa. Stawali też bezradni wobec złośliwych kaprysów przyrody, gdyż nie znali siły, która by ich nauczyła skutecznie walczyć z posuchą, z marnotrawieniem ziemi, z nędzą i zacofaniem.

I tylko w baśniach ludowych, w pieśniach burłaków nadwołżańskich oraz w opowieściach mieszkańców pustynnych dzielnic Turkmenii krążyła legenda: Przyjdzie mocarz, który postawi zaporę suchowiejowi, Waligóra, który zmieni bieg rzek, czarodziej, który złotymi łanami zbóż i zielonym listowiem buraka cukrowego pokryje suche stepy i pustynie.

*

Przyszli do Lenina chłopi znad Wołgi i znad Donu. Przyjechał do Moskwy stary Turkmeńczyk Fejreddin. — Ziemi jesteśmy teraz syci — powiedział — a wody, widzicie, nie mamy. Trza nam wody na pola, na Zawołże, na Dońskie Stepy, na Przykaspijskie ziemie...

„Prawdziwym bohaterem jest nie ten, kto pobije wrogów, ale ten, kto pokona pustynię" — przypomina stare turkmeńskie przysłowie.

Były to lata krzepnięcia młodej władzy radzieckiej. Już jednak w roku 1918 rząd radziecki z inicjatywy Lenina opracowuje plan połączenia kanałem Wołgi z Donem. Toczyły się wtedy zaciekłe walki z bandami białogwardzistów i z obcymi interwentami, ale na przyszłej trasie kanału podjęto już prace rozpoznawcze. Prace te rozszerzyły się na olbrzymie terytorium od Dniepru po Amu-Darię.

Człowiek radziecki podejmuje zadanie ujarzmienia kapryśnych sił przyrody. Poznaje jej tajemnice i prawa nią rządzące. Buduje potężny przemysł, aby wspierał realizację wielkich planów walki o „Ziemię Kwitnącą". Na budowlach socjalizmu rośnie nowy świat, wolny od nędzy i zacofania. Chłop uczy się w szkole socjalizmu, szkole gospodarki zespołowej, że od przyrody nie można oczekiwać daru, lecz walczyć, by wyrwać z niej to, czego człowiek potrzebuje dla swoich nieustannie rosnących potrzeb.

Bezpowrotnie mijają czasy gdy chłop zaprzęgnięty do kieratu wyzysku, biedny, bezbronny i niezaradny, ustępował kapryśnym rzekom i korzył się przed suchowiejami, uważając je za dopust boży. W latach 5-latek stalinowskich przesiadł się z dychawicznej szkapiny indywidualnego gospodarowania na traktor; zaorał miedzę; założył w kołchozach laboratoria doświadczalne; pod szkiełko badacza i doświadczenie praktyka wziął roślinę i grudkę ziemi.

Na szerokie pola ruszyły z wielkich kombinatów przemysłowych nowoczesne maszyny, które jak pociski rozbijały stary świat zacofania, torując drogę obfitym urodzajom i dobrobytowi najszerszych mas chłopskich. Z nowoczesnymi maszynami ruszyła nauka Miczurina, Wiliamsa, Łysenki. Setki kontynuatorów Miczurina przesuwają granice radzieckiego rolnictwa na północ i wschód. Dzięki metodzie jarowizacji, bawełna której dotychczas potrzeba było ponad 25° ciepła, staje się mniej wymagająca. Wystarcza jej już dzisiaj temperatura Ukrainy. Ciężkimi kłosami szumi na polach radzieckich wieloletnie żyto. Bogaty plon daje pszenica krzaczasta.

Równocześnie nowe, nieznane dotąd metody siewu i sadzenia wzmacniają rośliny, rozwijają bujne kłosy i soczyste owoce. Powstaje nowy, radykalnie inny od dotychczasowego stosunek do uprawy gleby. Wiliamsowski system trawopolny wykazał, że od człowieka zależy utrzymywanie i podnoszenie żyzności gleby.

Z osiągnięć nauki radzieckiej, z praktyki pól kołchozowych rodził się Wielki Plan, miał on sprawić, że również na słonych piaskach pojawi się podzwrotnikowa roślinność, a suche stepy znowu zamienią się w pola dające bogate urodzaje.

*

Równo 5 lat temu dnia 24 października 1948 r. na wniosek Stalina rząd radziecki uchwala *„plan zakładania lasów ochronnych, wprowadzenia trawopolnego systemu uprawy roli i budowy zbiorników w celu zapewnienia wysokich urodzajów na obszarach stepowych i stepowoleśnych europejskiej części ZSRR"*. W sierpniu i we wrześniu 1950 r. zostają ogłoszone uchwały Rady Ministrów ZSRR o przejściu do nowego systemu nawadniania i ulepszeniu mechanizacji robót polnych, uchwały o budowie wielkich kanałów, mórz wewnętrznych i gigantów-elektrowni. XIX Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego rozszerza te wielkie zadania przez budowę kanału Wołga—Ural oraz potężne budownictwo wodnoenergetyczne na północnej Angarze.

Oto główne ogniwa wielkiego planu odnowienia ziemi, zapewniającej gospodarce radzieckiej wspaniały rozwój dla wytworzenia obfitości wszelkiego rodzaju dóbr.

*

Leśne pasy ochronne powstają w 8 kierunkach, niezależnie od tysięcy pasów leśnych o charakterze lokalnym. Zielone ściany lasów, idące z północy na południe, będą stanowiły niezawodną zaporę przed suchowiejami, wędrującymi z pustyń środkowoazjatyckich. Wielkie pasy leśne, ciągnące się ze wschodu — na zachód, będą zatrzymywać zimne wiatry północne. Nowe lasy na powierzchni ponad 6 milionów ha zmienią klimat na przestrzeni co najmniej 120 milionów hektarów. Latem obniżą temperaturę tych terenów, zmniejszając szybkość parowania. W zimie — zatrzymają śnieg na polach. Poza tym zlikwidują na zawsze klęskę piasków ruchomych. Lasy te już rosną na setkach kilometrów; zmieniając powoli klimat wielu rejonów.

Równocześnie wprowadzony zostaje prawidłowy podział tych obszarów na różnorodne uprawy, z powszechnym stosowaniem płodozmianu trawopolnego, aby przywrócić glebie jej urodzajność. Podjęto też gigantyczną pracę nad nawadnianiem tych terenów.

Już pracuje dla radzieckiego człowieka kanał Wołga—Don. Już szumi wśród stepów dońskich, do niedawna tak spragnionych wody, Morze Cymliańskie. Już z Tachia-Tasz z progu pustyni Kara-Kum, ruszyły potężne maszyny, by podjąć budowę ponad tysiąckilometrowego kanału. Koparki-giganty wryły się w ziemię, aby wytyczyć trasę Kanału Kachowskiego. Te wielkie kanały, morza wewnętrzne, zbiorniki wodne — będą zarówno arteriami żeglownymi, jak i podstawowymi elementami nowego systemu nawadniania, dochodzącego poprzez mniejsze ogniwa do każdego pola kołchozowego. W nowej Kachowce u ujścia Dniepru, w Kujbyszewie i w Stalingradzie rosną fundamenty techniczno-materialnej bazy społeczeństwa komunistycznego. Powstają zręby elektrowni-gigantów. Dadzą one ogromne ilości „białego węgla" dla przemysłu, zapewniając nie tylko pełną mechanizację, ale i automatyzację najbardziej uciążliwych, najbardziej pracochłonnych zajęć. Robotnikowi będzie lżej pracować, a wydajność i tempo produkcji wzrośnie. Będzie również lżej pracować rolnikowi, bo wprzęgnie on energię elektryczną do orki i hodowli, pochłaniających dotąd tyle żmudnego wysiłku i czasu.

Naród radziecki w wielkiej ofensywie pokojowej zwalcza kaprysy przyrody, podporządkowując sobie działanie wiatrów. Wielkie obszary pustynne zamienia stopniowo w kwitnące ogrody, roślinom dyktuje nowe warunki rozwoju, każdy hektar ziemi i każdy metr sześcienny wody wprzęga w służbę dla dobra człowieka. Na bazie rozwoju ciężkiego przemysłu zapewnił rolnictwu radzieckiemu i radzieckiemu chłopstwu nieosiągalny dotąd w żadnym ustroju poziom. Wielkimi budowlami komunizmu otwiera olśniewające perspektywy, przekraczające marzenia ludzkie.

*

W naszych czasach gospodarka kapitalistyczna skazuje na głód setki milionów ludzi w Indiach, w Afryce, w Ameryce Łacińskiej, w Stanach Zjednoczonych. Ofiarom nędzy i głodu imperializm oferuje, jako jedyny „ratunek" perspektywę nowych wojen, pełnych gwałtu i okrucieństwa. W tymże czasie Związek Radziecki — potężne mocarstwo pokoju, wskazuje całemu światu, co należy czynić, by ziemia zamieniła się w kwitnący sad.

Tadeusz Orlewicz

TOMASZ ATKINS

Sprawy międzynarodowe

W strefie neutralnej

AMERYKAŃSKI żandarm ochrypłym głosem wywoływał numery. Stojący obok niego agent kuomintangowski tłumaczył cyfry na chiński. Z grupy jeńców wojennych odrywali się wywoływani i ustawiali w szereg.

— Nr 705202!

19-letni Tien uścisnął rękę najbliższego towarzysza i dołączył się do szeregu. Nikt nie wiedział po co urządzono ten apel. Może się już więcej nie zobaczą...

Wywołana grupa jeńców - ochotników chińskich, zagnana została do baraku. Tam przemówił do nich oficer amerykański:

— Zgodnie z układem o rozejmie — mówił oficer — każdy z was ma prawo wyboru: czy chce wracać do komunistycznych Chin, czy wyjechać na Taiwan, rządzony przez Czang Kai-szeka. I dziś musicie wybrać — albo komunistyczne Chiny, albo Taiwan, gdzie was przyjmą z otwartymi rękami i gdzie dostawać będziecie amerykańskie wyżywienie i umundurowanie oraz amerykański żołd w dolarach.

I oficer amerykański dodał rozkazującym tonem:

— Z baraku są dwa wyjścia: frontowymi drzwiami wyjdą ci wszyscy, którzy wybierają wolność i dolary; tylne drzwi są dla komunistów. Wychodzić trzeba pojedyńczo.

O decyzję nie było trudno. Któż, z wyjątkiem nielicznych, spodlonych zdradą agentów kuomintangowskich, nie chciałby wracać do ojczyzny, do rodziny, do swej ukochanej? Powoli jeden za drugim, jeńcy kierowali się więc ku tylnym drzwiom.

Młody Tien był jednym z pierwszych, którzy opuścili barak. Ale wnet za progiem uderzenie pałką w głowę oszołomiło go. Banda kuomintangowców, uzbrojona w maczugi, nie przestawała bić leżącego. Później nieruchome ciało Tiena razem z innymi rzucono na ciężarówki Tien odzyskał przytomność dopiero w nowym obozie, do którego zawieźli go Amerykanie. Jak się dowiedział, był to obóz dla tych, którzy rzekomo odmówili powrotu do Chin Ludowych.

Tien postanowił uciec. Ale mu się nie powiodło. Podczas ucieczki zraniony został kulą karabinową. Złapano go i zawleczono do szpitala Lecz nie po to, aby opatrzyć mu ranę. Tiena przywiązano do stołu operacyjnego i zaznaczono potwornym tatuażem. W górnej części lewego ramienia wytatuowano mu slogan „Nienawidzę Rosji", a na prawym przedramieniu napis: „zobowiązuję się walczyć przeciwko komunizmowi". Ten sam los spotkał tysiące innych jeńców chińskich i północno-koreańskich. „Jesteście napiętnowani. Musicie u nas pozostać" — grozili im oficerowie amerykańscy i agenci Kuomintangu.

Mimo to Tien ostatecznie dostał się do swoich. Przywieziony do strefy neutralnej w Panmundżonie, zmylił swych prześladowców i oddał się pod opiekę straży hinduskiej. Jeniec wojenny Nr 705202 wrócił, aby opowiedzieć o męczarniach swych towarzyszy. O Czoe Sa Jongu, którego Amerykanie zatratowali na śmierć podczas napaści na barak, gdzie śpiewano pieśni narodowe. O Czao Sun Longu, któremu kuomintangowcy rozdarli pierś i wyjęli serce, bo za bardzo tęskniło za ojczyzną.

Powstaje pytanie: dlaczego Amerykanie nie chcą pozwolić jeńcom wojennym na powrót do ich domów i do ich najbliższych w Chinach i Korei Północnej? Dlaczego zatrzymują ich siłą?

Stosunek Stanów Zjednoczonych do sprawy jeńców wynika z całej polityki imperializmu amerykańskiego. Przez 18 miesięcy, odmawiając zgody na pełną i swobodną repatriację jeńców, Stany Zjednoczone przedłużały rokowania rozejmowe. Czy chodziło im wówczas o samych jeńców? Nie. Chodziło o stworzenie powodów, usprawiedliwiających przedłużanie wojny.

Przez półtora roku Amerykanie brutalnym terrorem usiłowali zastraszyć jeńców, zmusić ich do zdrady. Wysiłki te spełzły na niczym. We wszystkich obozach jeńcy powstali przeciwko swym oprawcom. Amerykanie masakrowali bezbronnych — ale te dzikie wyczyny rozbestwionych żołdaków potwierdzały całemu światu fałsz i obłudę amerykańskiej propagandy.

Nawet, gdy nacisk opinii światowej zmusił Amerykanów do podpisania rozejmu i do przerwania działań wojennych, nie przestali oni prowadzić wojny przeciwko jeńcom.

„Całe postępowanie Stanów Zjednoczonych wskazuje, że nie chcą one zakończenia wojny w Korei" — oświadczył premier burżuazyjnych Indii, Pandit Nehru, gdy dowiedział się o przebiegu akcji repatriacyjnej. Gwałcąc postanowienia układu o rozejmie USA na każdym kroku stwarzają trudności w akcji repatriacyjnej jeńców. Amerykanie odmówili wybudowania w oznaczonym terminie pomieszczeń, w których miała się odbyć akcja wyjaśniająca. Sprowokowali oni zbrojne wystąpienia przeciw neutralnej straży hinduskiej. Straszą oni nadal jeńców, obrażają przedstawicieli neutralnych państw. I, jak dawniej, samoloty amerykańskie wciąż zrzucają bomby na strefę neutralną.

Z niepokojem i baczną uwagą śledzą narody wydarzenia w strefie neutralnej Panmundżonu. Ze strony koreańsko-chińskiej nie ma żadnych naruszeń układu rozejmowego. Strona amerykańska zaś czyni wszystko, aby rozejm storpedować. W strefie neutralnej jeszcze nie zapanował pokój; jeszcze toczy się walka, zmagają się ze sobą siły sprawiedliwości i bezprawia. Walka ta wymaga czujności wszystkich miłujących pokój narodów.

Tomasz Atkins

Kronika radziecka

TYDZIEŃ robotniczo - chłopskiej prasy

Bliżej do życia. Więcej uwagi poświęcać temu, jak „masa robotników i chłopów rzeczywiście buduje coś nowego swoją codzienną pracą".

Słowa, które niegdyś opublikował Lenin na łamach „Prawdy", stały się hasłem przewodnim prasy radzieckiej. Potrafiła ona poprzez sieć korespondentów stać się wiernym zwierciadłem radzieckiej rzeczywistości, wysiłku mas pracujących w walce o rewolucję, o socjalizm, a jednocześnie objąć kierownictwo postępowej opinii publicznej.

Służąc idei socjalizmu, będąc głosem wielomilionowych mas pracujących, prasa radziecka spełniła i spełnia olbrzymią rewolucyjną rolę w dziejach mobilizacji mas do walki o nowy lepszy ustrój.

Takiej prasy nie znał dotąd świat. W ustroju kapitalistycznym gazeta służy wąskim egoistycznym klasowym interesom burżuazji. George Seldes w książce pt. „Takie są fakty" stwierdza całkowitą zależność rzekomo wolnej prasy burżuazyjnej od kapitału. W Ameryce potężne monopole, do których należą najbardziej rozpowszechnione dzienniki i czasopisma, nadają ton życiu politycznemu kraju. Ich jednostronne, kłamliwe informacje wyciskają piętno na obliczu prasy amerykańskiej.

W tej chwili zarówno w USA, jak i w państwach zależnych, dzienniki, będące na żołdzie imperialistów, służą najczarniejszej reakcji, rozpętywaniu nowej wojny, są w działalności swojej i charakterze — wsteczne i antyludowe.

Główną cechą prasy radzieckiej jest jej rewolucyjność, postępowość i na wskroś ludowy charakter. Jest to prasa nowego typu, która narodziła się w okresie walki Lenina o bolszewicką nową robotniczą partię. Od „Iskry" (1900) poprzez „Prawdę" (1912) biegnie chlubny rodowód nowej robotniczo-chłopskiej prasy.

Rewolucja Październikowa, lata stalinowskich pięciolatek, Wielka Wojna Narodowa, obecne wielkie zadania walki o pokój i komunizm — podniosły rolę prasy radzieckiej, wzbogaciły ją nowymi doświadczeniami i siłami.

Prasa radziecka jest narzędziem pokoju. Wynika to z jej założenia. Będąc prasą ludu, prasą prawdziwej demokracji, służy interesom ludów, umocnieniu między nimi stosunków przyjaźni i współpracy.

Ludowość jej zasadza się również na powiązaniu z wielomilionową prasą pracujących rozległą siecią korespondentów. Dzieje prasy nie znały dotąd tak olbrzymiego „sztabu redakcyjnego". Lud redaguje swoją gazetę: robotnicy, kołchoźnicy i inteligencja pracująca piszą do dzienników lokalnych lub rejonowych. Tzw. „wielka" prasa, centralna, korzysta z wszelkich korespondencji lokalnych, analizuje materiał zamieszczany na łamach prasy „prowincjonalnej" i czerpie stąd wiadomości o ogólnopaństwowym znaczeniu.

Wraz z rozwojem prasy bolszewickiej rosły kadry korespondentów. Stalin nazwał korespondentów „przywódcami proletariackiej opinii publicznej". Stali się oni nie dziennikarzami zawodowymi, lecz działaczami społecznymi, którzy poprzez prasę pomagają usprawniać pracę miejscowych władz i organizacji gospodarczych, ujawniają istniejące niedomagania.

Władza radziecka otoczyła sieć korespondentów troską i opieką. W r. 1924 Stalin zwracając się z pozdrowieniami do „Gazety Chłopskiej" mówił: „Dbaj o twoich korespondentów chłopskich, jak o źrenicę oka — jest to twoja armia".

Przyjrzyjmy się z kolei sieci prasy radzieckiej. Została ona pomyślana w ten sposób, że zaspokaja w pełni potrzeby i zainteresowania radzieckiego czytelnika.

Moskiewska „Prawda" organ KC KPZR, jest najbardziej rozpowszechnionym wpływowym dziennikiem w Związku Radzieckim. Artykuły i felietony „Prawdy" w sprawach polityki zagranicznej śledzone są z zainteresowaniem przez cały świat, gdyż stanowią wyraz opinii narodu radzieckiego. Do „Prawdy" należy wydawnictwo, które wydaje szereg czasopism m. in. „Komunistę", tygodnik „Krokodyl" i inne.

„Izwiestia" stanowią specjalny organ władz radzieckich. Dlatego wychodzą nie tylko po rosyjsku, lecz w językach związkowych republik. Gazeta redagowana w 16 językach — to unikat w dziejach światowej prasy.

Radzieckie związki zawodowe mają swój organ centralny „Trud". Nakładem wydawnictwa „Trud" ukazuje się tygodnik poświęcony sprawom międzynarodowym „Nowe czasy".

Armia radziecka posiada własne pisma, cieszące się wielką poczytnością. Ich tytuły: „Czerwona Gwiazda", „Czerwona Flota" i „Stalinowski Sokół" (gazeta lotnicza). Młodsza siostrzyca „Prawdy" — Komsomolskaja Prawda — jest najpoważniejszym pismem młodzieżowym świata. Wychowuje ona miliony młodzieży, wpajając w nią świadomość socjalistyczną, patriotyzm, internacjonalizm i ducha walki o pokój.

W wielomilionowym nakładzie wychodzi też „Pionierska Prawda" przeznaczona dla młodzieży w wieku szkolnym.

Ogromną rolę posiada prasa gospodarcza jak „Zagadnienia Ekonomiczne", „O industrializację", „Socjalistyczne Rolnictwo", „Syrena" itd.

Oto kilka przykładów pism centralnych uzupełnianych przez szeroką sieć prasy lokalnej, rosyjskiej, i pism związkowych republik.

Szeroko rozbudowana jest sieć pism kulturalnych i oświatowych jak „Litieraturnaja gazieta", „Sowietskoje iskustwo", Kulturno-proswietitielnaja rabota", „Klub", „Szkoła" itd. Na łamach tygodnika „Kultura i żizń" zostały w swoim czasie określone cele tej pracy: „Przed pracownikami radzieckiej kultury stają trudne i odpowiedzialne zadania. Historyczne zadanie Partii i Państwa na polu kulturalnej odbudowy polega na tym, by wszystkich robotników i wszystkich chłopów wychować na ludzi wykształconych, a kulturalno-techniczny poziom klasy robotniczej podnieść do poziomu pracowników inżynieryjno-technicznych".

Radziecka prasa kulturalno-oświatowa znakomicie wypełnia te zadania.

Prasa radziecka przoduje dziś postępowej prasie całego świata — m. in. i naszej — w walce o pokój i postęp.

Gdy prasa imperialistyczna stała się trybuną antykomunistycznych ludożerczych teorii, rasizmu i nienawiści człowieka, trybuną wojennej nie przebierającej w środkach propagandy, prasa radziecka wychowuje miliony ludzi w duchu miłości, kultury oraz postępu i jest potężną bronią w walce o pokój.

Na tym polega jej międzynarodowe przodujące znaczenie.

Grzegorz Timofiejew

ANDRZEJ TOPOLSKI

PARTIA PROWADZI...

Na posiedzeniu Komitetu Gminnego Partii w Łyszkowicach miała stanąć sprawa skupu zboża. Wykonanie planu osiągnęło dopiero 40%. Było to o 20% mniej niż przewidywały bieżące terminy. Sekretarz Nowiński wezwał na naradę towarzyszy z gromad. Nie samo bowiem opóźnienie charakteryzowało sytuację. Pierwsze miesiące skupu odsłoniły niepokojący obraz marszu 27 gromad. Gdyby go przyrównać do mobilizacji dwudziestu siedmiu pułków na front, okazałoby się wówczas, że na długo przed terminem jeden z pułków dotarł już na linię frontu, około 10 maszeruje w tempie przepisowym, a nawet go wyprzedza, ale 10 innych drepcze trzy razy wolniej niż przewidywał regulamin. W takim pochodzie armia przestała być całością.

Sekretarz Nowiński wejrzał jeszcze głębiej. Mało bowiem widzieć marsz całych pułków; trzeba też rozpoznać jak się rzeczy mają z ludźmi, jaka jest ich gotowość i siła bojowa.

Pod tym względem zebrał również niepokojący materiał: 20% żołnierzy zadanie wykonało już w całości, 50% — w części, a 30% — „pospolitego ruszenia" w ogóle jeszcze do marszu nie weszło.

Na posiedzeniu Komitetu Gminnego obecni byli sekretarze partii z gromad, członkowie prezydium GRN i delegat ministerialny skupu. Referował sytuację sekretarz prezydium Gminnej Rady. Referował ostrożnie, nie wychodząc poza wykazy i liczby.

Wynikało z nich, że w 27 gromadach przodowały w skupie: Retniowiec — 100 proc., Łagów — 62 proc., Jacochów, 60,3 proc., Seligów — 59,6 proc., Kuczków — 58,2 proc. Odstawały natomiast: Sierakowice Prawe — 21 proc., Sielce — 22,9 proc., Stachlew — 23,1 proc., Reczyce — 26,2 proc.

Całkowicie wywiązało się z obowiązkowych dostaw zboża 385 chłopów, częściowo — 1.101; nie rozpoczęło dostaw — 613.

*

Choć wiele już upłynęło dni, żywo mam w pamięci owo posiedzenie Komitetu Gminnego w Łyszkowicach. Przypominam je sobie jednak nie jako sprawozdawca. Sprawozdawca bowiem nie tyle zachowuje kolejność toku obrad, ile mechanicznie ulega tej kolejności.

Mnie w pamięci utkwił charakter narady i rola sekretarza Komitetu Gminnego. W tym posiedzeniu było coś z narady sztabu. Sekretarz Nowiński prowadził je tak, jakby dokonywał bojowego przeglądu poszczególnych spojeń kolektywu partyjnego pod kątem coraz wyraźniej wyłaniającego się planu natarcia w kampanii skupowej.

Toteż nie oczami gościa ale oczami sekretarza widzę siedzących w półkolistym kręgu towarzyszy z gromad.

Oto II sekretarz Komitetu Gminnego — Walczak. W ciągu dwuletniej pracy w Łyszkowicach Nowiński zdążył do gruntu poznać jego słabości i zalety, a wciąż zdumiewa go niesłychana żywotność tego rosłego, zapalonego chłopaka, ochota, z jaką zabiera się do każdej pracy z poświęceniem. Wiem, że napawa go obawą nieroztropność i płytkawe niekiedy traktowanie zagadnień przez Walczaka, który mało czytał. Dopiero ostatnio udało się Nowińskiemu posadzić go nad książkami, ale Walczak... załatwi każdą sprawę i pójdzie w największy ogień o każdej porze dnia i nocy.

Owczarek. Stary pochylony, spracowany chłop z sąsiedniej wioski. Na zagrożony odcinek go nie rzucisz. Nie wydąży. Ale na wyznaczonej z góry pozycji nikt nie dorówna jego doświadczeniu i sprytowi.

Maor nie wiele miał wiedzy. Prosty robotnik. Wielu spraw nie może pojąć natychmiast. Ale jego czujność klasowa, wyczucie problemu, są jak błysk ostrza — cięte i celne.

Białkowi od czasu do czasu trzeba wędzidła przykrócić, zdradza skłonności do galopu.

Na zebraniach, które prowadzi, Gajda nie wytrzymuje obecności sekretarza, załamuje się psychicznie, ale pomocy w pracy nie potrzebuje. Nowakowskiego natomiast nie można jeszcze puszczać na szersze wody. Wir go porywa. Kiedy sekretarz Nowiński patrzył z ciepłym uśmiechem na towarzyszy podczas ich przemówień po sprawozdaniu prezydium GRN, za każdym pociągnięciem sumiastego wąsa domyślać się było można nowego projektu, jaki podejmował w rozstawieniu sił, co uważał za połowę wygranej batalii.

*

— Towarzysze! Zanim ocenię i podsumuję Wasze propozycje i wnioski — zaczął swe przemówienie Nowiński — pozwólcie, że na początek wsunę moją obserwację, konkretny przykład, który z waszymi wnioskami pozostaje w zgodzie, ale ma dla nich wartość, jaką nitka ma dla paciorków. Na tę nitkę trzeba je nanizać.

Jak jest w Pszczonowie? 50% planu! A przypatrzmy się bliżej: kto go wykonał i to prawie w całości? Małorolni i część średniaków. Kto zalega? W pierwszym rzędzie — wszyscy kułacy.

Dotąd wyróżniłbym w Pszczonowie dwa okresy skupu.

W pierwszym jaki bilans? Po stronie naszej operatywności — żywiołowy dowóz. Ta żywiołowość uśpiła Gminną Radę, uśpiła i nas, towarzysze. Nie doceniliśmy ofensywy wroga. Szły bowiem odstawy od małorolnych, ale równocześnie kułacy, jak Rembiński, Krawczyk, Salapa i inni nic nie odstawili, natomiast zabrali się w sposób planowy do hamowania żywiołowego skupu. Co np. mówił Rembiński do średniaka Korzeniowskiego?

— Ty masz 15 metrów do odstawy, to nic ci nie zrobią. Ja co innego. 50 metrów każdy z daleka widzi.

Jaki wynik? Ani jeden, ani drugi jeszcze nie oddali zboża.

A kiedy sołtys zaczął przyciskać kułaków — co oni wówczas robią? Podstawiają małorolnego, Juszczyka i ten piszczy — maszyn do młocki nie ma! Podstawili Dziankowskiego, który nieraz pijał z Salapą i tęn drze się — nie urodziło się. Podania złożyliśmy dawno i dotąd odpowiedzi nie ma!



Jakże więc, towarzysze, wygląda ten pierwszy okres?

Większość małorolnych odstawia żywiołowo. Podania nie rozpatrzone drzemią w Gminnej Radzie, a kułacy przez totumfackich kije w szprychy. Ładny obraz? Wstyd dla nas, wstyd dla mnie — nie ma co. Wstyd, powiadam, bo na przedwczorajszym zebraniu gromadzkim w Pszczonowie obserwowałem początek drugiego okresu. I sam się uczyłem od małorolnych chłopów pszczonowskich jak nam należy prowadzić ofensywę, jak przejąć inicjatywę i nie wypuszczać jej z rąk.

W ostatnich dniach w Pszczonowie udział w agitacji wzięli nauczyciele. I trzeba powiedzieć — w sposób pomysłowy. Wywiesili wiele dużych plansz z wykresami, rysunkami i opisami. Od razu obraz sytuacji stał się jasny i powszechnie wiadomy. Korzeniowski, opisany na jednym z plakatów, biegiem przyleciał i żałując, wyznał swoje obałamucenie.

Zebranie gromadzkie było więc dobrze przygotowane i — że tak powiem — naelektryzowane. Wyszło na nim, jak szydło z worka, że Pszczonów mógłby osiągnąć już, jak Retniowiec — 100% planu, bo większość małorolnych zboże odstawiła. Kto więc plan hamuje? — pytano. Rembiński, Salapa, Krawczyk, Miedziński i tacy, jak Korzeniowski. Dlaczego — mówiono — toleruje się kłamstwa? Były przecież maszyny do młócki. Ale wtedy kułacy wymawiali się, że nie mają czasu. Nieurodzaj? Pomijając już, że Pszczonów — to gromada dobrych rolników — co tu gadać o nieurodzaju, kiedy większość już się wywiązała — a na ich pola tłuściejsze deszcze nie padały.

Był punkt zapalny: podania. Ale tu wystąpił tow. Suwała i wiecie, towarzysze, co powiedział?

— Jeśli gmina się cacka i marudzi z podaniami, to my je tu sami na miejscu rozpatrzymy. My, tzn. ci, co zboże odstawili. A rozpatrzymy sprawiedliwie. Bo „my", to tacy, jak ja. Jeśli mogłem z trzech ha odstawić całość skupu, to inni też mogą, jak należy. Nasze oczy dobrze wypatrzą prawdę i kłamstwo.

Towarzysze! Na co liczyli kułacy? Na to, że kiedy małorolni odstawią zboże i zobaczą, że kułacy ani drgnęli, że średniacy dali tylko w części, to zapanuje atmosfera rozgoryczenia i zniechęcenia — ale taka, w której języczkiem u wagi będą ci małorolni, którzy jeszcze nie oddali lub nie w pełni i że oni wziąwszy kurs na wykręcających się bogaczy, staną się dla nich piorunochronem. Będą się gryźć między sobą małorolni, kwasić i przymawiać po opłotkach, a górę weźmie zniechęcenie kapitulujące wobec powstałego stanu rzeczy: — po com się narywał, czyż nie lepiej wyszedł ten, co się nie spieszył? Przyschnie mu i tyle.

I przeliczyli się kułacy. A dlaczego? Bo w tym, co chcieli aby im przyschło, jest krzyczący wyzysk. Małorolnymi chcieli zaorać skup, a swoje przetrzymać na spekulację. I tego im nie darowała gromada. Ta odstawa, której podołali małorolni, to siła, towarzysze, siła, która się uświadomiła małorolnym.

A na zebraniu, w tym co powiedział tow. Suwała, pokazało się jeszcze więcej — *nie damy się wyzyskiwać kułakom i kombinatorom, bo mamy poczucie władzy i odpowiedzialności gospodarskiej za plan na samym dole, w gromadzie.*

Tego nas uczy przykład Pszczonowa. Trzeba oczywiście poprawić projekt Suwały, ale upowszechnić jądro tego projektu. Kolegium Gminnej Rady winno na zebraniach gromady — przy podstawowej ocenie tych, *co zboże odstawili* — rozpatrywać na miejscu podania i podejmować również kroki administracyjne wobec opieszałych. Te decyzje wypłyną z dyskusji i będą poparte czynną wolą gromady. Takie to, towarzysze, dla nas wskazanie.

*

Przypominam sobie wnioski i propozycje towarzyszy z gromad. Sekretarz Nowiński odniósł się do nich z uznaniem. Ale wraz z podkręcaniem wąsa, prawie w każdej też coś podkręcił, tu odjął, tam dodał, to znów zgrupował i powiązał kilka naraz tak, że z luźnych, często nie dość jasnych, zagmatwanych i sprzecznych propozycji poczęły się wyłaniać wyraźne kierunki natarcia i ścisłe zadania.

— Powiadacie, towarzysze, że przynajmniej z Retniowcem spokój, bo osiągnął już 100 proc. skupu. „Spokój" to złe słowo! Takim słowem odłożylibyśmy Retniowiec, jak kwity skupowe do szuflady w komodzie. A przecież Retniowiec przy 100 proc. planu przed terminem wart drugie tyle. Jak, towarzysze, i gdzie wykorzystać te drugie 100 procent? — oto pytanie.

W ubiegłym roku Retniowiec zdobył w nagrodę za pierwsze miejsce w gminie — czterystutomową bibliotekę. Całą zimę chłopi mieli co czytać. W marcu, po śmierci towarzysza Stalina, zobowiązali się żniwa ukończyć na 5 dni przed terminem, a skup zboża — do 15 września. I terminu dotrzymali. Do 18 września uporali się też z zasiewami. Co wróg gada o Retniowcu? „Będzie teraz Komitet Gminny pokazywał na Retniowiec: — tamci mogli a wy nie? Wyrwę zrobili, wyrwę...".

Oto, towarzysze, drugie sto procent, jakie wnosi nam Retniowiec, a my tego nie widzimy. W całej gminie głośno o tej wsi, a my ją do szuflady? Nie! Tam chłopi wyrobieni, świetni gospodarze, „z honorem, postawili się" — jak o nich mówią. Stąd, towarzysze, trzeba poprowadzić natarcie na Sierakowice Prawe i Stachlew. Niech tam agitują i młócą słomę kułackich plotek. W Stachlewie Marcin Kosmatka ukarany został w zeszłym roku na 5.000 zł grzywny za opór i zaległości. Utemperował się? Nie. Rozpowiada po gromadzie, że ulgi będą powszechne w wymiarze. Powołuje się na Chruszczowa, że sam Chruszczow tak mówił, a on czytał w gazecie.

Można by się uśmiać, bo referat tow. Chruszczowa omawia zadania rolnictwa radzieckiego na obecnym etapie, więc gdzie Rzym, gdzie Krym? Ale takim powoływaniem się mąci się głupim w głowach, że niby sprawa szeroka, ze światową polityką związana i ho, ho, koło twoich, Wojtek, pięciu metrów zboża się kręci, zatem poczekaj...

Czy tam nie należy, towarzysze, pchnąć chłopów z Retniowca? Trzeba. Już oni w Stachlewie wyjaśnią, gdzie Rzym, a gdzie Krym i o czym traktował referat tow. Chruszczowa. Dobre przy okazji zrobią przygotowanie do miesiąca przyjaźni. I radiowęzeł trzeba retniczanom oddać do dyspozycji. Niech z niego przemawiają dzień w dzień; każdego dnia — kto inny. Warci tego.

A z Sierakowicami, towarzysze, błąd! Słusznieście go wytknęli. Wina tu i nasza, Gminnego Komitetu. Przed rokiem członek partii, Władysław Ceroń, wraz z nauczycielem Wojenką zorganizowali z zetempowców zespół artystyczny. Mieli duże i ambitne plany: zajęcia świetlicowe, śpiewy, zespoły czytelnicze, inscenizacje.

Wynaleźli stare mieszkanie, złożyli podanie o przydział desek i cementu na remont. Utknęło w Prezydium PRN w Łowiczu, odpowiedzi dotąd nie ma; podobnie Wydział Kultury nie nadsyła materiałów inscenizacyjnych. Zespół pozbawiony pomocy rozleciał się. Nie pomogliśmy chłopakom — nie pomogliśmy sobie. Wpływ świetlicy dużo by już zdziałał i dziś agitacja stałaby inaczej. Będziemy szkodę naprawiać.

A teraz, bieżąco skierujemy Retniowiec na Sierakowice.

Z Łyszkowicami też błąd. Pod bokiem mamy wielką szkołę, którą wybudowała Polska Ludowa — osiem sił nauczycielskich! — i jak powiadacie, mały z nich pożytek społeczny. Oderwana szkoła od życia, zamknięta w sobie: nauczyciele nawet w pracy świetlicy nie biorą udziału, a przecież mogliby prowadzić systematycznie odczyty, całe cykle.

Ta szkoła — to 300 dzieci chłopskich z Łyszkowic, Czatolina, Wrzeczka, Zakulina. Duży mógłby być wpływ. Tow. Wołowski podsuwa projekt, aby harcerze pisali listy do przodujących chłopów z podziękowaniem, uznaniem i zachętą do agitacji. Dobry pomysł — i do gazetki i do radiowęzła się nadaje. Ale szkołę można i trzeba bardziej rozruszać i wykorzystać.

Aktyw zaś Pszczonowa pchniemy na Sielce i Reczyce.

Rosną też nasze siły, towarzysze. W Czatolinie, Uchaniu Dolnym i Kuczkowie organizują się grupy kandydackie. To znaczy: tam gdzie lepiej i tam gdzie gorzej. W każdym ogniu walki.

*

Nie zapomnę narady Gminnego Komitetu Partii w Łyszkowicach. Poświęcona skupowi, przebiegała w ścisłym związku z generalną linią partii, aby pogłębić sojusz robotniczo - chłopski, aby zacieśnić spójnię ekonomiczną miasta ze wsią. Bo regularna, niczym nie zakłócona wymiana między miastem i wsią — to gwarancja coraz lepszego zaspokojenia codziennych potrzeb chłopów i wzrostu poziomu ich życia. O to właśnie szło na naradzie.

Zostały ustalone główne kierunki natarcia w agitacji i wytyczone praktycznie bieżące zadania.

Andrzej Topolski

TEOFIL KOWALCZYK

W CAŁOKSZTAŁCIE SPRAW I HISTORII...

Historia Krępy w okresie międzywojennym ukazuje dzieje szybkiego rozpadu gospodarstw średniorolnych, gwałtownego ubożenia wsi. W latach 1918 — 1920 małorolnych było tu około 10, reszta około 30 — to gospodarstwa od 5 do 10 ha. Stosunek małorolnych do średniaków wynosił jak: 1:3. Gwałtowne zanikanie gospodarstw średniorolnych nastąpiło w ostatnim dziesięcioleciu przed II wojną światową. Pożyczki bankowe, jakie zaciągnęli w latach 1928 — 1929, a w następnych gwałtowny spadek cen na zboże i bydło, doprowadziły do ciężkiej sytuacji.

Procenty od pożyczek i wysokie podatki pochłaniały zazwyczaj cały dochód z ziemi. W przemyśle nie było co robić. Wracali z miast ci, którzy w momentach koniunktury znaleźli tam chwilowo zajęcie. Dzielono ziemię, zakładając dwumorgowe gospodarstwa.

Wskutek zadłużenia upadły gospodarki Piotra Palimąki i Feliksa Musiała. Kapitał bankowy wyzuł ich z ziemi. Spekulacyjny handel zbożem uzależniał chłopa od kupca Mendela z Wolbromia, który tutaj był monopolistą i dyktował ceny. Nie było we wsi ani w gminie biblioteki. Nie istniała poza „Strzelcem" żadna organizacja społeczna czy polityczna. Nie kolportowano gazet poza „Dzwonem Niedzielnym" — organem Kurii Biskupiej w Kielcach. Czuwał nad tym proboszcz parafii w Gołczy Józef Górbiel, bogaty mieszczuch z Miechowa i współwłaściciel fabryki wraz z komendantem posterunku granatowej policji. Górbiel propagował Kółka Różańcowe i Akcję Katolicką, nie szczędząc słów potępienia dla postępowców, a zwłaszcza komunistów. Nie zachęcał chłopów do czytania książek rolniczych, natomiast często zarządzał modły i odprawiał msze na intencje dobrych zbiorów. On to między innymi zakupił 1 ha ziemi po zlicytowanym przez bank Feliksie Musiale.

Przed wybuchem drugiej wojny światowej Krępa — w wyniku rozdrobnienia ziemi — posiadała już 70 małorolnych i 10 średniorolnych. Wyrósł bogacz, Piwowarski, który dokupił ziemię założył duży ogród i na handlu owocami dorobił się majątku.

Rozdrobnienie gospodarstw pogłębiło się jeszcze w okresie okupacji. Ponieważ od wywozu do Rzeszy ratowało niekiedy posiadanie gospodarstwa i rodziny — zawierano małżeństwa i dalej dzielono nawet 1- i 2-hektarowe areały. Zmniejszyła się ilość średniaków do 4. Ilość małorolnych wzrosła prawie 10-krotnie w stosunku do roku 1918 i wynosiła blisko 95. Dziesięciokrotnie pogłębiła się nędza chłopa.

W odległości 3 klm od Krępy leżą Kamieńczyce — stacja kolejowa na szlakach Kraków — Warszawa, Kraków — Śląsk. W czasie okupacji stała się ona centralnym punktem załadowczym dla kombinatorów i spekulantów, którzy żerowali na głodnej Warszawie, Krakowie i Śląsku. Spekulacją zajęli się też i małorolni z Krępy, wyrabiając bimber, spekulując mąką, nabiałem i mięsem. Dyląg wybudował sobie duży dom, Kobylec i Czop zgromadzili materiały bulowlane, inni, mniej zapobiegliwi lepiej jedli i ubierali się. Na nędzy robotnika w miastach przemysłowych Krępa opierała pozory „dobrobytu". Nie nakłaniały przecież do oporu przeciwko okupantom i do solidarności z klasą robotniczą listy pasterskie biskupa Kaczmarka, odczytywane z ambony kościelnej w Gołczy przez Górbiela. Zachęcał ich także przykład Piwowarskiego, który w tym okresie wybudował sobie najładniejszy we wsi dom i przechowalnię owoców. Resztki wyrzutów sumienia spłókiwano ochoczo wódką.

Po wojnie sytuacja wsi uległa pewnej poprawie. Reforma rolna i parcelacja majątków obszarniczych w Czaplach obdzieliła niektórych chłopów małorolnych ziemią. Skorzystali z niej Jan Ratuszny, Maciej Bonemberg, Jan Jamroży i paru innych. Był to mały zastrzyk, ale powstała we wsi po raz pierwszy organizacja partyjna, a w gminie komitet. Ale wójtem gminy pozostał wójt sanacyjny i okupancki — Jan Samek, bogacz z sąsiedniej wsi Rzeżuśni, graniczącej o miedzę z Krępą. Ten całe życie albo sekretarzował, albo wójtował, na czym dorobił się 18 ha ziemi. Gdy przed wojną chłopi ubożeli i sprzedawali ziemię, on ją — podobnie jak ks. Górbiel nabywał. Był rzecznikiem bogaczy w gminie. W Krępie popierał jego działalność Piwowarski i jego kompani od kieliszka. Członkowie Partii — biedota bez szkoły — nie byli ludźmi dostatecznie przygotowanymi do ostrej walki klasowej ani na terenie wsi, ani na terenie gminy, a Samek wójtował przez parę lat, bo do roku 1949. Z inspiracji biskupa Kaczmarka w Kielcach rozpoczęto w tym czasie budowę nowego kościoła w Gołczy — wsi oddalonej o 2 klm.



Piwowarski odradzał krępowianom wyjeżdżać na Ziemie Zachodnie „bo przecież Ameryka nie zgodzi się na przyznanie ich Polsce". Samek zdołał swoje gospodarstwo zelektryfikować i zmechanizować. Piwowarski ukończył również rozbudowę gospodarki ogrodniczo-handlowej. Średniacy, jak Ludwik Palimąka, Jan Perek, Jan Piwowarczyk i Jan Palimąka — stanęli mocno na nogach.

Małorolni zaś, jak Kobylec i Kałwa, zaczęli kontynuować chwilowo przerwany handel spekulacyjny zbożem, mąką i mięsem z nielegalnego uboju. Niedoświadczona organizacja partyjna w Krępie nie potrafiła wykorzystać momentu reformy rolnej dla zmobilizowania małorolnych do dalszej pracy i walki. Kierownictwo nad nimi wymknęło się jej z rąk. Nie zdołał tego naprawić Komitet Gminny.

Kiedy znikły możliwości spekulacji — małorolni znaleźli się znowu w ciężkiej sytuacji — tym cięższej, że plotka puszczona przez Piwowarskiego o Ziemiach Zachodnich powstrzymała ruch wyjazdowy nad Odrę i odpływ ludzi do miast, bo zdaniem Piwowarskiego w „miastach bieda".

Kiedy wieś wchodziła w okres tworzenia nowego ustroju rolnego, w okres likwidowania nędzy chłopskiej, w okres walki z bogaczami — poczuli się zagrożeni w swoich społecznych i gospodarczych pozycjach kułacy i ich poplecznicy. Ponieważ dotychczas plebania w Gołczy podtrzymywała ich pozycje, wykorzystali budowę kościoła, jako okazję do przedłużenia swego patronatu społecznego.

W wyniku — liczba małorolnych nie maleje, nie wzrasta liczba średniaków, nie postępuje ograniczanie kułaków. Przeciwnie — rozwijają się bogacze. Samek zakupił 4 ha ziemi od Pateja z Rzeżuśni, Piwowarski z Krępy 1 mórg gruntu. Nadto Samek wszedł w posiadanie 1/4 części młyna gospodarczego przez wykup od spadkobierców Ickowicza. A stało się to w ostatnich dwóch latach, gdy w odległości 40 klm powstaje olbrzym sześciolatki — Nowa Huta. Wprawdzie i z Krępy około 20 małorolnych angażuje się okresowo tam do pracy ale traktują ją, jako okazję do załatania dziur w budżecie gospodarstwa rolnego. Krępa nie wzięła pełnej orientacji na Nową Hutę ani na Zagłębie Śląsko-Dąbrowskie, dokąd tradycyjnie ciągnęli z tych okolic małorolni i bezrolni.

Rozmawiałem z sołtysem Szulcem. Według niego podstawowa organizacja partyjna jest nieżywotna. Składa „papierowe" sprawozdania, a Komitet Gminny nie kontroluje pracy organizacji, nie pogłębia szkolenia ideologicznego, nie mobilizuje do demaskowania wroga i obrony małorolnych. Przyszła akurat małorolna, wdowa Kozioł (3 morgi ziemi). Prosiła o pomoc sąsiedzką na okres siewów. Sołtys skierował ją do średniaka Perka. Ociągała się. Będzie klął, albo co?... Więc sołtys poradził oportunistycznie:

— Oczywiście, 60 zł za dniówkę pomocy sąsiedzkiej — to mało, gdyż biorą po 200 zł. Kupcie, Kozłowa, butelkę wódki i jakąś przekąskę. Perek — to niezły człowiek; byłby pokrzywdzony tymi 60 złotymi. Napije się, zje, zaorze i zasieje. Będzie dobrze. Dzień wcześniej rozmawiałem z tym Perkiem. Świadczeń na rzecz Państwa jeszcze nie oddał. Wybierał się w Poznańskie po zakup pszenicy. Tam na wolnym rynku kosztuje q 200 zł, tutaj — w Miechowskiem 450 zł. Tutaj sprzedam — kombinował Perek — a tam kupię i oddam Państwu.

Tak postępują bogacze i podkułaczeni średniacy. Zarabiają na biedocie i dokonują spekulacji przy dostawach na rzecz Państwa. Zaświadczenie z gminy, że się jedzie po zakup zboża na własne potrzeby... uzyskują. Można wszak użyć w tym celu i małorolnego. Członek Prezydium GRN ob. Maciej Bonemberg powiada, że nie przyznaje się pomocy sąsiedzkiej małorolnym, którzy pracują w Nowej Hucie. Zarabiają — niech płacą po 200 złotych dniówkę! Takimi kryteriami kieruje się GRN w Gołczy. Nic dziwnego, że w ten sposób zarobki małorolnych w Nowej Hucie „zawsze się gdzieś rozłażą"... to znaczy po kieszeniach bogaczy i spekulantów i odpływ chłopstwa do Nowej Huty lub Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego skutecznie Piwowarscy hamują!

Długoletni wpływ plebanii i bogaczy, brak organizacji społecznych i politycznych o postępowym charakterze, wytworzyły w Krępie typ chłopa — *kapitulanta*, nieśmiałego, biernego, nie umiejącego organizować walki o zmianę warunków bytowania. Szansa obudzenia chłopstwa z martwoty bezpośrednio po zakończeniu wojny, została w dużym stopniu zmarnowana. Organizacja partyjna z braku przygotowania nie potrafiła objąć kierownictwa politycznego i gospodarczego w gromadzie, a pozbawiona należytej opieki Powiatowego Komitetu PZPR zeszła również na drogę kapitulanctwa.

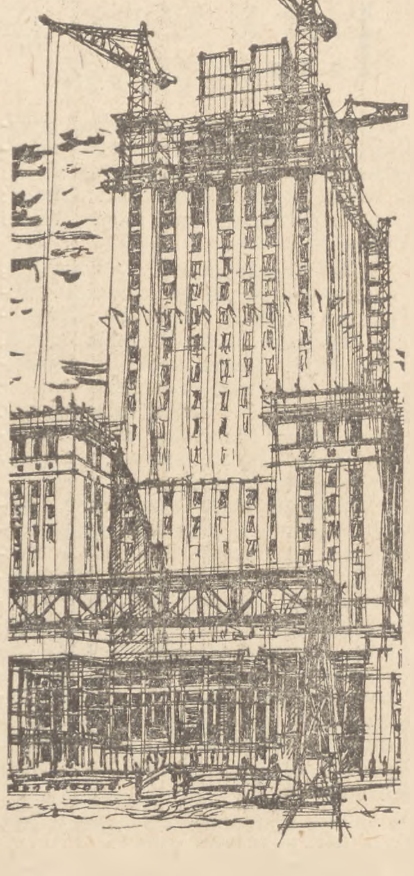
Podniosła głowę reakcja i zepchnęła małorolnych w ślepą uliczkę. Trzeba teraz wytężonej pracy powiatowych organizacji politycznych i rady narodowej, aby w Krępę tchnąć nowe życie.

Bo Krępa — to właśnie przysłowiowy „zapadły kąt", choć tak nie daleko stąd do Krakowa i Nowej Huty. Właśnie dlatego, że nie daleko niedoceniono historii tej gromady, spychającej ją w zacofanie i zapóźnienie w rozwoju. Krępa nie posiada świetlicy i szkoły, dzieci uczęszczają do siedmioklasówki w Gołczy. Do szkół średnich poza dwoma (do seminarium duchownego w r. 1948) nikt więcej nie wyszedł. Trzech czy czterech próbuje rzemiosła krawieckiego i to wszystko. Małorolni tutaj wciąż pozostają pod „patronatem" bogaczy i pod demoralizującym wpływem ich kombinacji i spekulacji, jak w okresie okupacji i w pierwszych latach po wojnie na rozgałęzionym szlaku handlowym. Nie dano im szerszej pomocy w rozwoju oświaty i życia kulturalnego.

Psychologia „biednego kuzyna" wciąż ciąży jeszcze na małorolnych w Krępie. Na niewiedzy i zacofaniu żeruje politycznie i gospodarczo wróg. Przecież to zdumiewające, aby pod bokiem Krakowa przez 9 lat nie pchnięto ani jednego dziecka do średnich szkół zawodowych.

Przykład Krępy — zapadłego kąta — stawia przed nami zadanie niesienia pomocy i opieki wsiom w oparciu *o szerzej i głębiej przeprowadzaną analizę warunków każdej wsi*. O tę szerszą i głębszą analizę apelujemy do działaczy terenowych!

Teofil Kowalczyk



1 rys. K. Żarski

KAROL ŻARSKI

LEKCJA URBANISTYKI Z 42 PIĘTRA

Tramwaj, wszystko jedno, czy to będzie 15-ka, 18-ka, czy 4-ka, zbliża się do ulicy Hibnera. Ludzie, choćby nie wiem jak zamyśleni, o różnych sprawach, nagle ożywiają się i wszyscy z zaciekawieniem spoglądają na jedną stronę wozu: — za szybą, oddalony o kilkaset metrów, bieleje najeżony dźwigami Pałac Kultury i Nauki.

I każdy, choć przejeżdża tu dziennie po dwa i więcej razy, zawsze spogląda tam z nową radością i nowym podziwem.

— Rośnie w oczach — słychać strzępy rozmowy — już 35 pięter...

Pałac wznosi się majestatycznie i — zda się — bezszelestnie. Tylko snopy iskier sypiące się z jego górnych partii, zdradzają życie: drążone jest tam wnętrze stalowego kolosa.

Inaczej wygląda to od wewnątrz. Dopiero tu, wśród charakterystycznego syku i jarzącego światła aparatów spawalniczych, wśród szczęku stali rozumie się w całej pełni szaloną pracę, gigantyczny rozmach, olbrzymi, twórczo zorganizowany wysiłek, w którym rodzi się monumentalny pomnik Przyjaźni i Pokoju — Pałac Kultury i Nauki.

Wędrówka po niekończących zda się kondygnacjach pałacu — to prawdziwa, obfitująca w emocje wyprawa wysokogórska. Na prowizorycznych żelaznych schodach mijają cię ludzie: jedni w kombinezonach — to elektrycy i murarze, inni z ochronnymi pasami i łańcuchami — to spawacze i montażyści, najdzielniejsi z dwu i półtysięcznej rzeszy budowniczych pałacu. Ich krok, przyzwyczajony do wąskich belek i podniebnych konstrukcji jest ostrożny i pewny; ich ogorzałe od wichrów twarze mają wyraz skupienia i powagi.

Co znaczy ich praca przekonasz się najlepiej, gdy miniesz ostatnią z informacyjnych tabliczek — „35 etaż".

Ale zanim to nastąpi krok twój długo jeszcze będzie wydzwaniać po żelaznych schodach. Mijasz piętro po piętrze, nie odczuwając zmęczenia, a zielone tabliczki, jak kamienie milowe, skandują etapy twej podróży: ...15, 16, 17 etaż.

Mijamy prawie niezauważenie dalszych kilkanaście kondygnacji — i oto... Tak, tu już kończą się schody, a zaczynają sterczące w niebo słupy montowanych dalszych pięter. Na tle błękitu nieba poruszają się zgrabnie, jak wiewiórki, sylwetki radzieckich montażystów. I tu błyskają niebieskie ognie spawaczy, tylko jakoś inaczej niż tam, w głębi — bardziej zwycięsko.

Niczym nie hamowana wichura, która na tej wysokości przewala się z olbrzymią siłą, każe trzymać się mocno stalowych belek. Nad głową — spód samowznoszącego się dźwigu U. B. K. — jednego z 4 ustawionych w narożnikach wysokościowej części pałacu i rosnącego razem z nim, a pod nami...

Dla takiego widoku warto było piąć się po schodach na 35 piętro: cała Warszawa rozłożyła się szeroko, przestrzennie...

Widzisz całe bohaterskie miasto, miasto - pomnik, w którym historia, jak w pieczęci, odcisnęła swoje bruzdy.

Na północy, rozciąga się jeszcze pustynia getta, ale wciska się w nią już nowa treść, nowe życie — Muranów. Robotnicze słoneczne domy zdobywają morze gruzu.

Najbliżej pod twymi stopami — śródmieście. Zachowane jeszcze gdzieniegdzie ciemne wąskie studnie mieszkalne, smutne relikty kapitalizmu, wypiera nowa treść. Ot bieleją ściany MDM, rośnie nowe śródmieście socjalistycznej stolicy!

Na przekór wszelkim niszczycielskim siłom, na przekór czczym groźbom nowych podżegaczy dźwiga się miasto szczęśliwe, rozumnie budowane, miasto, w którym promień słońca i uśmiech dziecka zastąpi wilgotne sutereny.

Jakże bardzo wymowna jest lekcja urbanistyki z 35 piętra Pałacu Kultury i Nauki!

Karol Żarski

MONIKA WARNEŃSKA

POMOC I NAUKA BUDOWNICZYCH MAGNITOGORSKA

„...Czyż moglibyśmy tak szybko i tak pomyślnie odbudować swój kraj z ruin wojennych, realizować tak skutecznie nasze plany uprzemysłowienia Polski... gdybyśmy nie mieli tak potężnego oparcia o sojusz ze Związkiem Radzieckim, gdybyśmy nie odczuwali na każdym kroku jego braterskiej pomocy i przyjaźni..."

(Bolesław Bierut — z przemówienia na VII Plenum KC PZPR).

Wedle starego zwyczaju budowniczy nowego gmachu, kładąc jego kamień węgielny, zamurowywał w nim dokumenty dotyczące nowej budowli. Gdyby ów zwyczaj zachowano przy budowie pierwszych domów Nowej Huty, jakie powstawały na cichych wsiach podkrakowskich, blisko sadów, otulonych wiosną w mgły białego kwiecia, a latem pełnych dorodnego owocu, przysparzającego zysków podmiejskim „badylarzom" — gdyby kładziono „akty erekcyjne" w kamień węgielny domów nowego miasta — musiałyby się wśród nich znaleźć dokumenty, mówiące o prawdzie wielkiej przyjaźni. O prawdzie przyjaźni, łączącej Polskę Ludową ze Związkiem Radzieckim. O prawdzie przyjaźni, która wyraża się nie słowami, nie czczą gadaniną, nie zlepkiem mdłych frazesów — lecz serdeczną troską i czynem.

Jest rok 1945. Suche, beznamiętne cyfry ostro wskazują prawdę: na 16 wielkich pieców — tylko 3 zdolne są do produkcji. Na 45 wielkich pieców tylko 10 nadaje się do uruchomienia.

Partia i Rząd zdawały sobie sprawę, że nawet po gruntownej odbudowie, nawet przy pewnej rozbudowie, hutnictwo polskie nie sprosta zadaniom, jakie stawiają przed nim nowe czasy. Od pierwszych zatem niemal chwil po wyzwoleniu Partia wysunęła postulat budowy nowej huty — huty wielkiej i nowoczesnej, której budowa usunęłaby skutki długoletniego zacofania Polski, stawiając nasz przemysł metalurgiczny na odpowiednim poziomie. To zamierzenie przekraczało jednak możliwości naszego odbudowującego się przemysłu. Szukaliśmy różnych dróg dla wprowadzenia go w czyn. Kontakty z przemysłem państw zachodnich dały jeden rezultat: świadomość, że nie na Zachodzie nam szukać rozwiązania naszych trosk hutniczych.

Pamiętamy jak zwłóczono z dostawami zamówionych i zapłaconych maszyn, oszukując władze Polski Ludowej szalbierczymi obietnicami. Pamiętamy, jak przysyłano maszyny i agregaty niekompletne, przestarzałe, jak wręcz sabotowano polskie zamówienia, w ostatniej chwili zatrzymując wysyłkę opłaconych maszyn. Pamiętamy sprawy dokumentacji technicznej, która w myśl umów, powinna była przybywać razem z maszynami, a o którą nie można się było doprosić... I pamiętamy, jak dostarczano maszyny nowych, nieznanych w Polsce typów, nie przysyłając — wbrew umowom i obyczajom handlowym — specjalistów, którzy z ich obsługą obznajmialiby polskich fachowców...

Pamiętamy... Ale po cóż mnożyć te opowieści? Pamiętamy również co innego: pierwsze transporty zboża dla zrujnowanej Warszawy, pamiętamy pomoc radzieckich komendantów miast dla polskich ekip robotniczych, przemierzających Niemcy w poszukiwaniu maszyn wywiezionych z fabryk przez okupantów; pamiętamy dostawę radzieckich surowców do polskich fabryk włókienniczych; pamiętamy... Stop! Wiele, wiele uzbierałoby się do wspominania...

*

Rok 1948. Z Moskwy wraca do Polski delegacja rządowa przywożąc umowę handlową, zapewniającą kredytową dostawę ze Związku Radzieckiego projektów i urządzeń budowy dla pierwszego polskiego kombinatu stalowego, pomoc w ich montażu oraz w przeszkoleniu kadr fachowców.

Początek roku 1949. Do Polski przybywa ekipa wybitnych specjalistów radzieckich. Rozpoczynają się wstępne prace nad ugruntowaniem projektu kombinatu i miasta. Przypomnijmy ich pobyt w Polsce pięknymi słowami Mariana Brandysa w „Początku opowieści" opisany:

„...W perspektywach olbrzymiej budowy czas kurczył się i tracił znaczenie. O nie zaprojektowanym jeszcze kombinacie mówiono, jak gdyby wszystkie jego zakłady pracowały już pełną parą, o pustych polach — jak gdyby były już stutysięcznym miastem. Walczono równie twardo i zaciekle o to, co ma być dziś, jak o to, co będzie za lat sześć. Patos socjalistycznego budownictwa rozsadzał ściany pokojów konferencyjnych. Inżynierowie radzieccy, pochyleni nad planami terenów podkrakowskich, wyzwalali z przegrzanego, zadymionego powietrza wizje mroźnych stepów Syberii i Uralu, wśród których przed laty wznosili kolosy Kuźniecka i Magnitogorska..."

Wiosną tego roku na cichych, sennych podkrakowskich polach wytyczono pierwsze szlaki nowych dróg, wiodących ku nieistniejącemu jeszcze miastu.

Latem tego roku ryknęły wielkim głosem motorów radzieckie spychacze, a dzioby potężnych koparek zanurzyły się w tłustą glebę.

Równocześnie na polach, otaczających wykopy, ledwie zarysowane drogi, fundamenty przyszłych domów — wyrosło miasto namiotów. Do Nowej Huty przybywali gromadnie chłopcy z miast i wsi, z zapadłych osad i miasteczek, tonących w zacofaniu, do których jeszcze nie dotarł mocny oddech „nowego". Przybywali niedawni parobcy od kułaków i terminatorzy, których wieść o młodzieżowym zaciągu wyrwała ze stęchlizny małomiasteczkowych warsztatów, z ciężaru upokarzającej zależności od majstra-wyzyskiwacza. Przybywała młodzież ofiarna, żarliwa, ideowa, zdecydowanie dążąca na pierwszą linię walki o Wielki Plan, na trudny posterunek Sześciolatki — i świadoma trudności, jakie tu przyjdzie łamać. I przybywali też młodzi ludzie zahukani, zacofani, ciemni, których jedynym pragnieniem był chleb, dach nad głową, doraźny zarobek i popłatny fach w przyszłości. Przybywali wreszcie awanturnicy, chuligani, bumelanci, jakich nie brak w żadnym nowym wielkim zbiorowisku ludzkim...

Wszystkich wciągał i ogarniał rozmach wielkiej budowy. Wśród przeciwności i trudów ludzie krzepli, hartowali się. Wiele błędów i wiele pomyłek popełniali wówczas w pracy z młodzieżą niedoświadczeni, zapalni, a mało co starsi od współkolegów wychowawcy. Ale kiedy wróg uderzał zza węgła w młodych ludzi spod zetempowskich namiotów, kiedy dokuczał chłód, kiedy trzeba było walczyć przeciw bezmyślności, zamętowi, tępocie biurokratów, złośliwości tych, którzy starali się rozmyślnie zahamować tempo pracy — wtedy z ust tych właśnie, co wyrośli w Nowej Hucie, padały słowa: Trzeba walczyć tak, jak Pawka Korczagin, jak bohaterowie „Młodej Gwardii" z Krasnodonu. Trzeba być mądrym, cierpliwym, upartym, jak Mieriesjew. Trzeba uczyć i wychowywać innych, tak jak to czynili ludzie „Poematu pedagogicznego" Makarenki...

I byli, jak ci z Komsomolska. Kiedyś, na nowych wielkich budowach idącej epoki, w chwilach trudności budowniczowie stawiać ich będą za przykład, mówiąc:

— Tak jak ci z Nowej Huty. Tak jak ci, którzy budowali miasto i kombinat w roku 1949, i w latach następnych...

*

Radzieckie usprawnienia i metody pracy, sposoby murarzy radzieckich, doświadczenia w dziedzinie oszczędzania kompleksowego, zapoczątkowane przez Lidię Korabielnikową, brygady „lekkiej kawalerii" — wszystko to stanowiło nielada szkołę dla ludzi Nowej Huty. Krąg tej wielkiej szkoły radzieckich doświadczeń rozszerzał się z każdym miesiącem. Nasi specjaliści wyjeżdżać poczęli do wielkich ośrodków przemysłowych ZSRR, by tam, u źródła radzieckich zdobyczy, pogłębiać swą wiedzę, pomnażać doświadczenia, uczyć się od towarzyszy.

Przypomnijmy sobie raz jeszcze nasze „kontakty" ze specjalistami Zachodu. I przypomnijmy piękne, gorące, pełne najszczerszej prawdy słowa, jakimi pierwszy kronikarz Nowej Huty, Marian Brandys, charakteryzuje radzieckich inżynierów:

„...Była w nich jakaś pasja do najszerszego upowszechniania posiadanej wiedzy. Żaden z tych wysoko kwalifikowanych fachowców, zagadnięty przez najmłodszego kolegę, nie odchodził od niego, póki mu najdokładniej nie wyświetlił wątpliwego zagadnienia. Nie uznawali żadnych tajemnic naukowych, czy stopni wtajemniczenia. Wiedzę traktowali, jak sztafetę postępu. Uważali, że należy ją przekazywać dalej..." Tak uczyli się ludzie Nowej Huty od radzieckich towarzyszy prawdy o wielkiej przyjaźni.

*

Pierwsze radzieckie maszyny przybyły na teren budowy miasta i kombinatu w roku 1949. Były to spychacze, koparki, zgarniarki, które czarowały młodych chłopców w zetempowskich bluzach, marzących już nie tylko o szoferce czy ślusarstwie, lecz o zawodzie, o którym głucho było w dawniejszych latach: o zawodzie operatora nowych maszyn budowlanych.

Od tego czasu nieprzerwanie płyną pod Kraków, na stację kolejową, w dawnej wsi Mogiła transporty z Kraju Rad. Wagony i platformy suną długimi szeregami, wioząc olbrzymie skrzynie, na których czernią się napisy: „TIECHNOEKSPORT POLSZA — NOWA GUTA".

Bo równocześnie z pracami projektowymi w olbrzymich fabrykach radzieckich wre praca nad wykonaniem podstawowego sprzętu i głównego wyposażenia dla Nowej Huty. Dla Nowej Huty, która będzie posiadać maszyny i urządzenia o łącznej wadze około 150.000 ton w tym — dziesiątki silników i maszyn, setki agregatorów hutniczych, obrabiarek, pras i młotów, suwnic, dźwigów, podnośników, oraz olbrzymią ilość różnych mechanizmów i instrumentów pomiarowych.



W Nowej Hucie

Pierwsze arkusze papieru o charakterystycznej fioletowej barwie, zawierające dokumentację techniczną dla Nowej Huty, czytali nasi fachowcy w tymże roku 1949. Od tego czasu projekty techniczne i rysunki wykonawcze poszczególnych wydziałów huty napływają niemal nieprzerwanie. Całkowita dokumentacja Nowej Huty obejmie z górą 100.000 różnych rysunków oraz kilkaset tomów, zawierających opisy, obliczenia, zestawienia...

*

Nie dziwimy się więc, że w księgarniach Krakowa i w pięknym lokalu nowohutnickiego „Domu Książki" techniczne dzieła radzieckie idą „jak woda". Nie dziwimy się, że rośnie liczba uczestników kursów języka rosyjskiego, że wieczorami wielu młodych i starszych ludzi pochyla się nad podręcznikami i słownikiem, a wargi nie nawykłe do śpiewnej mowy przyjaciół ze Wschodu, uczą się mozolnie i wytrwale jej prawideł. Nie dziwimy się, że kierownik Domu Kultury, towarzysz Bąk, frasując się niską stosunkowo frekwencją słuchaczy na odczytach TWP, mówi: — TWP powinno wciągnąć do grona swych prelegentów naszych fachowców, którzy wrócili z przeszkolenia w zakładach radzieckich. Ludzie są bardzo ciekawi ich doświadczeń...

Są słowa, których prawdy nie zniweczy czas: nie przeżre rdza obojętności i nie przysypią pyły zapomnienia. Cóż bowiem odbierze siłę słowom, których prawdę potwierdza czyn? Są to słowa o przyjaźni, pomocy, przykładzie Kraju Rad. One to legły, jako pierwszy fundament budowy Nowej Huty. I po dziś dzień te słowa, które potwierdza na każdym kroku powszednia rzeczywistość, najmocniej, najpełniej, najpiękniej wyrażają siłę i prawdę wielkiej przyjaźni, Wielkiej, serdecznej przyjaźni.

Monika Warneńska

SYLWESTER BANAŚ

PRZYJAŹŃ CEMENTEM SPOJONA



SZARE i smutne to były ugory i wydmuchy. Nic z piękna Kielecczyzny zaklętego w utworach Żeromskiego. Był tu jakby inny kraj — mimo że w dni pogodne na horyzoncie ciemniały granatem, a siniały modro w niepogody Góry Świętokrzyskie i Puszcza Jodłowa.

Tutaj pagórki były nikłe, porosłe szarą nędzną trawą, pola nagie bez drzew i przeświecające szczerym piachem, na którym nawet łubin usychał, nim zdołał zapuścić w głąb korzenie. Z trudem udawał się lichy owies i kartofle, przypominające w czasie kopania paciorki dziadowskiego różańca...

Chałupy rzadko rozrzucone po polach, krzywe i słomą kryte; ani śladu podwórka i grządki z kwiatami.

Wędrowali stąd ludzie każdej wiosny do Radomia, gdzie agenci werbowali na wyjazd „na Saksy". Opuszczając z rozdartym sercem swoje rodziny biedacy radowali się jednak, że unikną trosk przednówka, a jak się dobrze na obczyźnie powiedzie, może nawet kilka groszy na zimę przywiozą... Ci, co pozostali, zbierali się w gromady, gdy już w polach nawoływały przepiórki i szli z kosami w bogate Sandomierskie, czy pszeniczne Lubelskie „na bandos".

Tak było od lat.

Przyszła wreszcie **wolność, przyniesiona na bagnetach krasnoarmiejców**. Zakwitła jutrzenka odrodzonej Polski robotników i chłopów.

— Dobra rzecz demokracja — mówili chłopi Wierzbicy, Polan, Nowego Dworu i innych wsi rozsianych wśród tych wydmuchów i jałowych pól — ale byłaby jeszcze lepsza, gdyby nam dała takie ziarno, które zasiane na naszych zagonkach, urodziłoby chleba do syta. Rozdzielono dworską ziemię i nam jej przybyło, ale to wszystko mało... Bo ziemie kieleckie mimo, że ubogie, zagęszczone są, jak rzadko które tereny w Polsce.

Marzenie o cudownym ziarnie spełniło się... Przywiózł je radziecki inżynier Wasyl Jeżow. Szedł już on raz przez te ziemie w pogoni za hitlerowcami. Widział zgliszcza Warszawy, ruiny Wrocławia, spalone polskie wsie i bolał nad tym. Myślał — jak wiele teraz będzie potrzeba Polakom... **cementu!** Cementu? A tak, bo sam był cemenciarzem, specem z Giprocementu.

Ucichł huk armat i na świecie zapanował pokój. Naród polski wziął się z całą energią do odbudowy zniszczonych miast i uruchamiania nowych fabryk.

I wtedy wyłoniła się potrzeba, którą przewidywał Jeżow — cementu, cementu i jeszcze raz cementu!

I znów w roku 1948 przybył do Polski inżynier Jeżow, a z nim inżynierowie: Orłow, Małczacki, Migilcew. Jeden z nich brał udział w walkach o wyzwolenie Kielc — pamiętnego stycznia 1945 roku. Drugi był ranny pod Radomiem.

Przy pomocy polskich geologów poszukiwali teraz, gdzie tu najlepiej zasiać ziarno, z którego wyrośnie... cement.

Wybór padł na **Wierzbicę**.

W mroźny lutowy ranek zawarczały na ugorach silniki i świdry zaczęły drążyć skostniały grunt. Obudzili się chłopi drzemiący do późna w swoich chałupach. Warczały silniki drążąc ugory — i wnet po wsiach poszły gadki i szepty:

Miejscowi kułacy, bo i na najbiedniejszej wsi znajdzie się taki, puszczali setki bajd i co dzień olśniewali słuchaczy nowymi rewelacjami.

— Wiecie wy... słyszeliście? Ruskie w Wierzbicy!

— Ciekawe, czego chcą?

— Jakto czego? Złota szukają, podobno znaleźli.

— Ii tam, znaleźli. Gdzie u nas złoto?...

— Właśnie że... Tylko w takich piachach - nieużytkach może być złoto?...

— Ruskie, panie święty, że przepędziły Niemca to dobrze — Panie Boże im zapłać, ale czego się tera pchają?

*

Jesienią 1949 roku na stację Jastrząb zaczęły przychodzić wagony z pakami. Tysiące wagonów! Szło ze Związku Radzieckiego kompletne urządzenie najbardziej nowoczesnej cementowni w Europie.

Jednocześnie na ugorze zaczęto kopać fundamenty. Znalazły pracę setki ludzi. Z każdym dniem budowa zatrudniała ich coraz więcej. Już z każdej prawie chałupy ktoś pracował. Chleba zaczęło starczać, a i do chleba się znalazło. Ten i ów, co obywał się świątek i piątek łatanym ubraniem, pokazywał się nagle przed kościołem w Wierzbicy w nowym garniturze i półbutach prosto z PDT.

— Hm... — sarkał Wakuła — patrzcie jak to się dziadostwo panoszy...

W roku 1951 budowa widoczna już była z daleka potężnymi murami żelbetonowych hal.

Inżynierowie radzieccy wciąż pomagali. Na budowie pracowało już trzy tysiące ludzi.

22 lipca 1952 roku zadymił po raz pierwszy kremowy komin cementowni. Biały dym płynął kłębiasto w bezchmurne niebo. Szumiały setki silników poruszających maszyny i piece obrotowe. Zadzwoniły spadające na konwojer pierwsze bryłki wypalonego klinkieru.

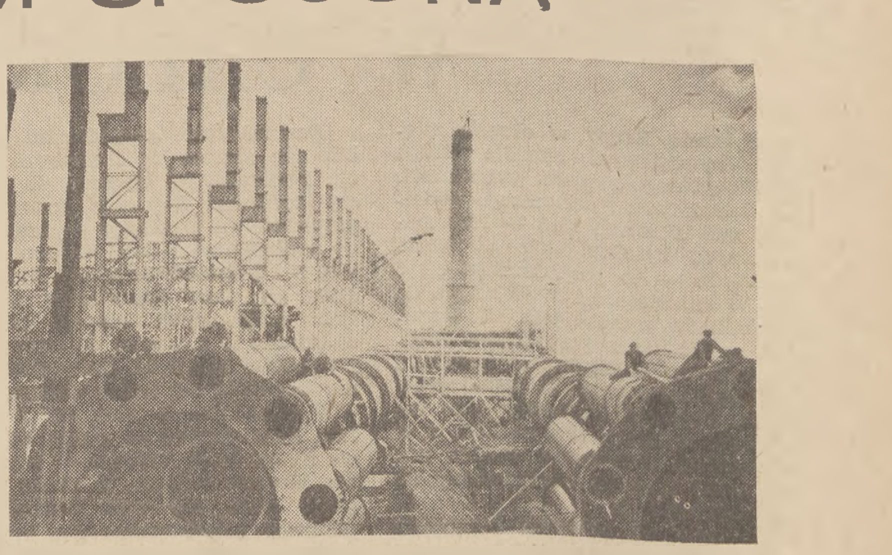
Gigant - cementownia zaczęła produkować.

Jeżow, Orłow, Małczacki i Iwan Iwanowicz Migilcew odjechali do swego kraju, do swoich rodzin.

Po nich pozostał pomnik przyjaźni, wyrosły na ugorze, gdzie łubin usychał, a owies wyrastał bardzo nędzny.

Dym jest widoczny na wiele kilometrów. I wielu ludzi z całej okolicy dojeżdża codziennie samochodami fabrycznymi do pracy.

Zapomnieli o przednówkach, o martwych okresach. Cementownia dymi dniem i nocą, latem i zimą bez przerwy.



Cementownia w Wierzbicy

Na kominie nie ma żadnych napisów, ale zostały trwalsze od napisów wspomnienia w sercach ludzkich. Dla robotników Wierzbicy przyjaźń polsko - radziecka nie jest czczym słowem. Widzą ją i odczuwają codziennie.

Co godzina kilka wagonów z cementem odjeżdża sprzed masywnych silosów. A w każdym wagonie setki worków z cementem, niezbędnym na wielkich i małych budowach naszego kraju. A z każdym metrem sześciennym betonu krzepnie coraz bardziej przyjaźń cementem spajana.

Wokół cementowni wyrosło razem z fabryką osiedle - miasto, a w nim każdy mieszkaniec, do niedawna chłop, pokaże ci dwu- lub trzypokojowe mieszkanie z łazienką i wodą bieżącą.

O inżynierów radzieckich nie musisz pytać. Każde dziecko cię poinformuje.

— Wszystkie maszyny dla tej fabryki przyszły z Rosji i teraz mój tatuś tam robi; a przedtem to u nas była bieda. A znał pan inżyniera Jeżowa?

— Nie.

— Ocho, nie znał? A inżyniera Orłowa?

— Też nie.

— O jej! A to byli radzieccy, co tę fabrykę budowali i dlatego nam wszystkim w Wierzbicy teraz jest lepiej.

Taką właśnie rozmowę przeprowadziłem z dziewięcioletnim Staszkiem, gdy w październiku ubiegłego roku przyjechałem do Wierzbicy, chcąc obejrzeć fabrykę i napisać reportaż.

Ów rezolut Staszek... i on się przyczynił do tego, że zamiast pisać reportaż, zostałem w Wierzbicy na cały rok i napisałem powieść.

Przycichł Wakuła i siedzi w swoim odosobnionym domostwie, jak borsuk w norze. Milczał, kiedy w Wierzbicy ci średniorolni chłopi, którzy nie poszli pracować do cementowni, postanowili założyć spółdzielnię produkcyjną.

Patrzył spode łba, gdy na rynku przybijano tablicę: „Do spółdzielni produkcyjnej w Polanach 3 km". I też milczał. Z Polan 90 proc. chłopów dojeżdża do pracy do cementowni. Z takimi się nie dogada.

Ale jest jeszcze kilku takich, jak Wakuła; schodzą się ukradkiem w ogrodach i radzą; nikt nie wie o czym, choć domyśleć się nie trudno. — Ale próżne te borsucze schadzki w ogrodach, skąd nie widać cementowni i białego dymu.

Oni nie widzą, ale **widzi cała okolica.** Dowód przyjaźni dymi dniem i nocą. Wciąż owocuje ziarno, zasiane przez inżyniera Jeżowa na płonnym ugorze. I nie tylko betonem. Wierzbica budzi chłopów-rolników. Z ziemi jałowej urodziła cement. Urodzi też obfite plony przy nowej agrotechnice...

Sylwester Banaś

Z. KARELIN

tłumaczył H. Kronman

MŁODSZY RADCA PRAWNY

(Fragment powieści)

TUŻ przed ukończeniem instytutu, przypadkowo spotkał Trofimow swego dawnego dowódcę dywizji. Ten poznał Trofimowa i zaproponował mu wyjazd na Północny Ural, gdzie był jednym z sekretarzy komitetu obwodowego partii.

— Wystaram się dla ciebie o duży i trudny rejon — powiedział. — Zgoda?

Propozycja brzmiała po frontowemu: poważne i trudne zadanie. Tak właśnie rozumiał ją Trofimow — oficer rezerwy, a obecnie *młodszy radca prawny*. I chociaż posiadany tytuł i doświadczenie w pracy dawały mu prawo wyboru, Trofimow, jakby występując z szeregu na wezwanie dowódcy, krótko odpowiedział:

— Rozkaz!

Ustępujący prokurator Michajłow wprowadził Trofimowa do gabinetu i przedstawił mu swych współpracowników.

— Kiedy zamierzacie towarzyszu przystąpić do pracy? — zapytał Michajłow.

— Myślę, że ustalimy taki program: przede wszystkim sprawy niecierpiące zwłoki, a następnie listy obywateli. Zamierzam zapoznać się ze wszystkimi skargami które wpłynęły do prokuratury w ciągu ostatniego roku. To pomoże mi do najszybszego poznania życia rejonu.

— Więc kiedy przystąpimy do przekazywania spraw? — zapytał Michajłow.

— Myślę, że możemy zacząć natychmiast.

— Teraz mam godziny przyjęć.

— To doskonale. Od tego właśnie zaczniemy.

— Od przyjmowania interesantów?

— Tak, od przyjmowania interesantów, — powiedział Trofimow. — Interesanci dla prokuratora — to głos rejonu. Sprobujemy wspólnie posłuchać tego głosu.

Michajłow zadzwonił na sekretarkę.

Sekretarka wprowadziła do gabinetu pierwszego interesanta. Barczysty młody człowiek pewnym krokiem podszedł do biurka i położył przed prokuratorem gruby plik papierów.

— Proszę! — powiedział porywczo. — Cała książka o tym, jak buduję swój dom.

— Co to jest? — Michajłow podsunął do siebie papiery. — Siadajcie, towarzyszu.

— Jestem maszynistą elektrowozu w kopalni. Nazywam się Kuźniecow.

— Pamiętam, pamiętam... — Michajłow zwrócił się do Trofimowa. — Oto, towarzyszu Trofimow, polecam. Duże usprawnienie wprowadził ten człowiek w kopalni: szybkościowe prowadzenie pociągów elektrycznych.

— No i korzyść z tego na pewno jest nie mała? — zapytał Trofimow.

— Wielka rzecz, w gazetach o tym pisali — powiedział Michajłow. — Zdaje się, że premię wam za to przyznali.

— Przyznali, — zasępił się znowu Kuzniecow. — Lepiej by nie dawali...

— A dlaczego? — zdziwił się Trofimow.

— Co tu opowiadać? — Kuzniecow wzruszył ramionami. Więc otrzymałem premię... Myślałem, myślałem, co z pieniędzmi zrobić, no i zdecydowałem się wybudować sobie nowy dom. — Stary — ojcowski, nawet dziadowski — ze starości ledwie się kupy trzyma. Zaledwie zacząłem budować, a w kombinacie powiadają mi: „Poczekaj, nie buduj, my ci sami, jako stachanowcowi, wkrótce dom wybudujemy“. Dobrze, czekam. Minął miesiąc, czy dwa — otrzymuję pismo: wybierz sobie działkę pod budowę. Co znowu za działkę? Ja działkę mam swoją, urodziłem się na niej. Mam tam ogródek, parę drzew owocowych... Idę do dyrektora i wyjaśniam. Nie, powiadają, my ci domu w mieście budować nie będziemy. Mamy swój plan zabudowy, swoje osiedle. — Kuzniecow rozłożył ręce. — Po cóż się przeprowadzać do osiedla, kiedy mi dobrze w mieście? No i nie dogadaliśmy się.

— I zrzekliście się domu?

— Zrzekłem się! Postanowiłem budować za premię. Tak... No i tu zaczęły się zmartwienia... Potrzebny mi powiedzmy, samochód, by drzewo przywieźć. Zwracam się do dyrektora, myślę, dadzą mi, pomogą. „Nie, — powiadają, — nie dostaniesz samochodu, skoroś taki hardy, że w osiedlu nie chcesz zamieszkać“. Dobrze, idę prosić o samochód do Rady Miejskiej. „Nie, — powiadają mi, — nie dostaniesz od nas samochodu, pracujesz w kombinacie, niech ci kombinat pomoże“. I tak ze wszystkim. Takie sprawy!...

Kuzniecow wskazał gruby plik papierów.

— Ile już podań składałem, ile różnych! I nic! Przewodniczący Rady Miejskiej, to mój kolega, Stiepan Czulinow, i ten mi odmówił. Jakże to, mówię, Stiopa, to jest Stiepanie Jegorowiczu, czy to dawnośmy razem pociągi w kopalni prowadzili? On milczy. Cóż to, spekulantem jakimś jestem, pytam, czy nie za własne zarobione pieniądze buduję? Znowu milczy. A przecież z całej duszy za nim głosowałem. Tak... — Kuzniecow spojrzał na Michajłowa, potem na Trofimowa i zapytał niepewnie: — A może wy tak sam myślicie? Może to słuszne, że nikt mi pomóc nie chce?

— Nie, towarzyszu Kuzniecow, niesłuszne, — powiedział Trofimow. — Powinni wam pomóc.

— Kombinat? — ucieszył się Kuzniecow.

— I kombinat i miasto.

— Prokuratura, właściwie, rozkazać im nie może — powiedział Michajłow poważnie. — Zresztą zostawcie dokumenty, zbadamy sprawę.

— Po to, by pomóc stachanowcowi w budowie domu, nie trzeba wydawać rozporządzeń, — zrobił uwagę Trofimow. — W tych sprawach są wyraźne dyrektywy Rządu. Dziwne to, że towarzysze w kombinacie i w Radzie Miejskiej nie wiedzą o tym.

— A więc jak? Mogę liczyć na to? — zapytał Kuzniecow wstając.

— Możecie! — z uśmiechem odpowiedział Trofimow. — Zostawcie swoje podanie, rozpatrzymy je i pomożemy wam.

— No, dziękuję! Do widzenia! — Kuzniecow mocno uścisnął dłoń Trofimowa. — I was, towarzyszu Michajłow, proszę, postarajcie się!...

Kuzniecow wyszedł.

— Czy można? — rozległo się za drzwiami, i do gabinetu, powoli przesuwając nogi, weszła stara kobieta.

— Jestem Zabielina, Ewdotia Siemionowna Zabielina.

— Co się wam zdarzyło, co wam dolega, Jewdokia Siemionowna? — łagodnie zapytał Trofimow.

Zabielina szybko obejrzała się, i, zauważywszy Trofimowa, klasnęła w dłonie.

— Ot taki sam, zupełnie taki sam jest mój!

— Kto? — zapytał Michajłow.

— Wnuk. Dobry był taki chłopiec. A jak ożenił się i wyjechał, to od tego czasu ani listu ani nawet pozdrowienia. Zapomniał o mnie, zupełnie zapomniał.

— A wy jesteście na jego utrzymaniu?

— Tak się liczy, — z goryczą kiwnęła głową Zabielina. — To przecież jest słuszne: ile sił mu poświęciłam!... A tak wyszło, że nie on mi za to się wywdzięcza, a Państwo. Państwo nie zapomina o mnie.

— A dawno przestał wam pomagać?

— Już drugi rok idzie... Ja go nie winię, ale, jak ciężko ci, to napisz. Ja to zrozumiem. Nie pieniądze jego są mi potrzebne, a pamięć, szacunku trochę... — Mnąc chusteczkę, otarła łzy policzków i zwalczając słabość, powiedziała surowo i z żalem: — Niewdzięczność! Czy tego go uczyłam?

— Zostawcie u sekretarza adres wnuka, — powiedział Michajłow. — Przypomnimy mu o jego obowiązkach.

— Tylko łagodnie, łagodnie jakoś, — zaniepokoiła się Zabielina. — Bóg z nim!

Staruszka wstała i zrobiła ruch ręką, jakby z góry zrzekała się wszelkiej pomocy, by tylko nie urazić wnuka, by nie robić mu przykrości.

— Więc po co przychodzicie do nas ze skargą? — Michajłow wzruszył ramionami.

— Po co? — Zabielina zamyśliła się. — Bo... bo przykro mi bardzo, serce boli!... Ciągle sama... zawsze sama... Wiadomości jakiejś chciałabym o nim, żeby choć napisał...

Zabielina była już we drzwiach!

— Zostawcie nam jednak adres wnuka, — podchodząc do niej, powiedział łagodnie Trofimow. — Napiszemy do niego. Na pewno.

Trofimow pomógł staruszce przestąpić próg.

— Napiszemy! I to wcale nie łagodnie, a tak, by temu „zdolnemu inżynierowi“ w pięty poszło! — ostro powiedział Michajłow, gdy za staruszką zamknęły się drzwi. — Należy wysłać oficjalne pismo i porządnie go postraszyć.

— Postraszyć? — zapytał Trofimow. — Nie, w ten sposób nic nie osiągniemy.

— Nie obawiajcie się, zobaczycie jak chłopiec regularnie przysyłać będzie pieniądze.

— Zabielinej nie tyle potrzebne są pieniądze, ile dobre słowo, szacunek wnuka.

— No, na to nic już nie poradzimy.

— A ja jednak spróbuję.

— W jaki sposób?

— Po prostu do oficjalnego pisma dołączę list od siebie.

— O charakterze umoralniającym? — z ironią zapytał Michajłow.

— Naprawdę nie wiem o jakim charakterze będzie mój list — spokojnie odpowiedział Trofimow. — Ważne jest to, by u wnuka Zabielinej wywołać nie tylko strach przed odpowiedzialnością, ale przede wszystkim uczucie wstydu i chęć naprawienia swego błędu. Jakim by był on egoistą, to coś radzieckiego na pewno w nim tkwi! I to właśnie, co jest w nim radzieckie, pomoże nam przywrócić Zabielinej wnuka.

— Ach, patrzę tak na was, Siergieju Prochorowiczu, i myślę, że nie prokuratorem powinniście być, a obrońcą — powiedział Michajłow.

— Słusznie, — Trofimow roześmiał się. — Obrońcą, właśnie obrońcą wszystkiego, co radzieckie, co nowe tkwi w naszych ludziach. I oskarżycielem wszystkiego, co pozostało jeszcze w naszym człowieku ze starego zmurszałego świata z jego wilczymi prawami. Zresztą, przecież i wy w ten sposób myślicie...

*

Tego dnia Trofimow długo siedział w swym gabinecie. Powoli rosła przed nim na stole paczka przejrzanych papierów. Powoli, bardzo powoli gawędził rejon ze swoim prokuratorem o tym, co zakłóciło normalny rytm życia, co przeszkadzało jego rozwojowi. Były tam listy pisane w tonie żywym, zdradzającym wzburzenie, były też suche dokumenty lub szczegółowe oświadczenia adwokatów.

Oto list ze skargą na nieprawne zwolnienie z pracy. Trofimow zrobił na nim notatkę „zbadać osobiście“.

A oto skarga kołchoźników ze wsi Iskra na szkodliwą pracę organizacji wiejskiej. Defraudacje, niszczenie płodów. Trofimow przypomniał sobie rozmowę prowadzoną w komitecie rejonowym i na liście zrobił adnotację: „Pomocnik prokuratora Gromow, niezwłocznie jechać do wsi Iskry i nawiązać kontakt z organizatorem partyjnym Antonowem“.

Oto znowu pismo, które, właściwie, nie należy do kompetencji prokuratora: pracownik kombinatu przedstawia plan zabudowy nowych działek i wskazuje błędy, poczynione przy budowie domów indywidualnych dla robotników. Ale i na tym piśmie Trofimow odnotował: „Sprawdzić osobiście, osobiście omówić z sekretarzem komitetu rejonowego partii Roszczinem“. Co więcej, list ten odłożył na bok, i w ciągu wieczora kilkakrotnie do niego wracał. Chodziło o to, że bardzo wiele listów, adresowanych do prokuratora, dotyczyło budownictwa mieszkaniowego.

„Tu jest coś wyraźnie nie w porządku — pomyślał Trofimow. — Dziwne. Wydatkuje się ogromne sumy, tempo budownictwa mieszkaniowego ogromne, a ludzie niezadowoleni. Dlaczego?“

I Trofimow ponownie zabrał się do czytania tych listów.

„Trzeba koniecznie omówić to z Roszczinem, — pomyślał. — Alarmujące listy“.

Powoli, bardzo powoli gawędził rejon ze swoim prokuratorem. Ale każdy przeczytany list, każda nowa sprawa odsłaniała przed Trofimowem coraz to szersze horyzonty, coraz dokładniej zapoznawał się z bolączkami swego rejonu, coraz wyraźniej uprzytomniał sobie, a co przede wszystkim należy zwrócić uwagę.

A tymczasem zapadł już wieczór. Na niebie pokazały się gwiazdy, na moście zapłonęły latarnie, w parku grała orkiestra...

Trofimow raz jeszcze powrócił do listów dotyczących budownictwa mieszkaniowego.

„Tak, bezwzględnie pomówić trzeba o tym z Roszczinem! — pomyślał znowu. — Ale z czym do niego pójdę? — zadał sobie pytanie. — Nie, przede wszystkim należy przejechać się do kombinatu, pojeździć po rejonie, sprawdzić fakty, podane w listach, a dopiero później — rozmowa“.

Z. Karelin





MAKSYM TANK
Białoruś

DNIEM POGODNYM

Dniem pogodnym, szczęśliwym
nad kołchoźne, nad niwy,
wiatr jak piosenka dziewczęca
zawiewa.
Zyto czyste, złociste
dojrzewa.

Jadą jeźdźcy w cwał polem,
wolnym polem — podolem,
zapatrzyli się na żyto
młode:
— Skądże wzięło tak piękną
urodę?

Kto je strzegł latem, wiosną,
że jak las tu urosło?
— Strzegła żyta dobrym zbiorom
rada
nasza polna komsomolska
brygada

— Któż to wami dowodzi,
że wam ziemia tak rodzi?
— Hej, dowodzi nami Katia
brygadzistka,
Złota Gwiazda na jej sercu
błyska.

I rzekł smagły, surowy
jeździec prawoskrzydłowy:
— Pokłon przedać waszej Katii
chciejcie.
— A od kogo ten pokłon —
powiedzcie?

Od młodego żołnierza,
co spokoju pól strzeże,
który w listach pisze:
Katiu jedyna!
Kto tak pisze, będzie wiedzieć
dziewczyna...

Dniem pogodnym, szczęśliwym
nad kołchoźną, nad niwą,
wiatr szwadronu proporzec
rozwiewa.
Zyto czyste, złociste
dojrzewa.

Przełożył: Zygmunt Koczorowski

HENRYK WORCELL

Wpływ zorganizowanego czytelnictwa



W III etapie konkursu czytelniczego Zdarzyce Dolne odniosły pełne zwycięstwo. Podzieliliśmy w powiecie pierwsze miejsce z gromadą Borek-Zdrój, zdobyliśmy sporo nagród: około 30 wartościowych książek, szachy, wieczne pióra, dwie srebrne odznaki przodowników czytelnictwa, a po zjeździe warszawskim tysiąc złotych, które przeznaczyliśmy na zakup książek dla naszej biblioteki i prenumeratę czasopism. Nie koniec na tym. Konkurs pozostawił w gromadzie ślad głębszy i trwalszy

Oto np. stara Tatarecka, która ledwie umiała czytać, cztery miesiące trzymała u siebie Lewandowskiego „Chów bydła“ i co? Wczesną wiosną zwapnowała swoją łąkę, a ze zbiorem siana nie czekała aż trawy przekwitną — zrozumiała widać, jaką wartość ma dla gospodarstwa dobre, niezakwaszone siano. Postanowiła również zasiać w tym roku kilkanaście arów seradeli. Absolwent kursu dla analfabetów Gozdawa, ten sam, który tak często zimowymi wieczorami przesiadywał u Rucińskich i przysłuchiwał się głośnemu czytaniu, przeczytał w domu broszurę o wychowie prosiąt i już z końcem marca zabrał się do urządzenia okólnika dla maciory, a w maju miałem sposobność obserwować go, jak wsparty o ogrodzenie okólnika, z lubością przyglądał się rozchrząkanej trzódce prosiąt zażywających słonecznej kąpieli. A Lichoń, przeczytawszy broszurę o uprawie łąk, zabrał się wczesną wiosną do składania kompostu. Gdy mi o tym zamiarze mówił, przytaknąłem mu: no cóż, kompost, niech będzie kompost. Czego on nie zbierał, czego nie znosił na swój stos kompostowy. Szlam z rowów ściekowych, poskrobki z podwórza, wszelkie chwasty z ostem i ognichą, odpadki domowe, popiół, trociny, darń, błoto z gościńca, wapno, resztki sztucznego nawozu, obornik, gnojówkę, trawę, liście z drzew, spleśniałą słomę, kurzy pomiot, zeszłoroczne plewy — słowem: wszystko co tylko ulega rozkładowi i zdolne jest zasilić glebę łąkową.

— Panie — mówił do mnie niedawno — ja tu na wiosnę będę miał tego ze czterdzieści fur! Cały hektar łąki zasilę, i niech się nazywam Cisłakowa, jeśli nie zbiorę dziesięć metrów siana więcej niż tego roku. Panie, to jest majątek! Jakby tak każdy gospodarz wziął się do tego, panie, ileby siana w całej Polsce przybyło? Ładna by to była cegła w budowie Planu Sześcioletniego. Ładniutka...

Wielu konkursistów pozostało przy moim punkcie. Jako stali abonenci i nawet w martwym dla wsi sezonie czytelniczym w lecie przychodzili po książki, chłopi po broszury rolnicze, kobiety i młodzież dopominali się o coś „lekkiego“, brali „Ulanę“, „Chatę za wsią“, „Córkę kapitana“, „Dittę“. Ta ostatnia książka wcale nie należy do lekkich, ale że chwyta za serce, kobiety chętnie ją czytają, a obserwując losy Ditty nie tylko poznają przekrój klasowy Danii, ale uczą się rozumieć ohydę, antyhumanizm kapitalizmu.

— Jak patrzę na tę zahukaną dziewczynę — mówiła sklepowa Burakowska, przyglądając się podobiźnie Ditty na okładce — to aż mi się płakać chce. Chciałoby się ją przycisnąć do serca, ale ona pewnieby się wyrywała z rąk, jak dziki kotek.

Atoli najwyraźniej znaczenie konkursu ujawniło się w uświadomieniu klasowym chłopów i w ruchu zmierzającym do obalenia „rządów“ miejscowej grupy kumotrów. Teraz zwłaszcza, w okresie planowego skupu dochodzi do ostrych starć. Pewnie że i bez konkursu doszłoby do tego, bo musiało by dojść, ale rzecz w tym że konkurs zaostrzył walkę klasową w Zdarzycach Dolnych, Górnych i w gminie Żelazna Wola. Poprzez książki odpowiednio przez organizatorów konkursu dobrane, przez czytanie indywidualne i zespołowe, poprzez rozmowy nawiązujące do artykułów prasowych i aktualnych zdarzeń politycznych — ludzie tutejsi zrozumieli przede wszystkim tę zasadniczą rzecz: że w interesie państwa, w interesie rządu Polski Ludowej **leży dobro obywateli;** zrozumieli, że jeśli obywatel doznaje krzywdy, jeśli spotyka się ze szkodliwą — bezmyślną lub niedbałą postawą terenowych władz, to jego obowiązkiem jest walczyć o umocnienie praworządnej władzy.

Teraz już Mitręgę, ani Borutę, ani nawet starą Potyrałową — nie zastraszy żaden Szyszko, lecz odwrotnie: to oni atakują. A wy co robicie? Po starościńsku załatwiacie? Zza biurka? A gdzie wasza łączność z terenem? Gdzie wasza troska o potrzeby chłopa? A wiecie co Bierut powiedział na dożynkach szczecińskich?

Bałagan — to zbyt łagodne określenie na to, co się tu w ciągu ostatnich lat działo, bo jakim mianem określić np. fakt, że w Zdarzycach Górnych gospodarze górnej połowy wsi co roku mieli większy plan skupu aniżeli gospodarze połowy Dolnej, gdzie ziemia żyzna pszenno - buraczana? Albo jak nazwać inżyniera - mierniczego, który temu, kto przyszedł doń z flaszką wódki — Słomickiemu, Gudroniowi, Mącile — określał klasę ziemi o jeden lub dwa stopnie gorszą niż jest faktycznie? Przez to i plan skupu dla tych gospodarzy był za mały; a ponieważ ogólny plan gromadzki musiał być co roku realizowany, więc osiągano go kosztem gospodarzy nie należących do klanu kumotrów. Przez kilka lat z rzędu pokorni obywatele znosili krzywdę, nie jeden ubożał, popadał w tarapaty materialne, ale milczał, a w milczeniu gniótł nieraz swój żal. Warto teraz zajść w godzinach przedpołudniowych do urzędu gminnego w Żelaznej Wodzie i przypatrzeć się, posłuchać, jak chłopi ostro nacierają na referentów.

*

Dowiedziałem się, że do zbadania sprawy Pietrzyckiego wydelegowano przewodniczącego GRN w Żelaznej Wodzie, Szyszkę. Dowiedziałem się o tym z jego własnych ust. Szedłem z Moderą na pocztę, a on stał przed zamkniętym o tej porze sklepem spółdzielczym i skinął na mnie z daleka.

— Chciałem z panem pomówić... — zaczął niewyraźnie. — Jak tam z konkursem; dobrze poszło, co? Nagrodę dostaliście?

— Owszem, tysiąc złotych.

— Pan ten powinien coś dostać... Słuchajcie... wyście powinni więcej z nami współpracować...

— To znaczy jak?

— No, być z nami w kontakcie, informować się, uzgadniać. Piszecie ludziom podania, to bardzo ładnie, ale trzeba w porozumieniu z nami...

— Pewnie wam o Pietrzyckiego chodzi? — przerwałem mu.

— Sprawę Pietrzyckiego to ja sam będę badał, mam polecenie z Powiatowej Rady. Tam nie ma nic takiego... za dzierżawy już zapłacił, a co do tej dachówki, to pieniądze już częściowo są. Są, są... Ja tam będę za trzy-cztery dni, to się z bliska przyjrzę. To nie jest nic takiego; niepotrzebnie szumu narobili... Tu chodzi o co innego. Po waszym konkursie ludzie piszą podania i skargi, a w powiecie wydziwić się nie mogą, że najwięcej podań ze Zdarzyc Dolnych.

— To dobrze kiedy chłop umie się upomnieć o swoje prawa. A po drugie — dodałem — tu rzeczywiście jest bałagan: z klasyfikacją ziemi i planem skupu.

— To się wam tylko tak zdaje. Chłop zawsze będzie się skarżył, zawsze mu się zdaje, że jest pokrzywdzony, a jak się dobrze przyjrzeć, to ani 15 procent racji w tym nie ma, co pisze.

— To po waszemu jak? Jeśli tylko 15 procent racji, to nie ma sobie czym głowy zawracać? I machnąć ręką na wszystkie podania i na wszystko w podaniach? Jeślibyście tak uważali, to między nami różnica zasadnicza. Po mojemu te 15 procent — to kamień węgielny sojuszu robotniczo - chłopskiego! Bo w tych 15 procentach leży bezsporna prawda. A w tej prawdzie niezaspokojone troski, nie uwzględnione słuszne potrzeby i krzywdy, wyrządzone przez matactwa kumoterskie wroga. Powiem wam więcej: w tych 15 procentach mieści się nie tylko to, co osobiście tego czy tamtego chłopa boli, co mu brakuje, czym jest pokrzywdzony — w tych 15 procentach wszyscy widzą to, co wymaga naprawy i usunięcia aby rozwijało się nowe życie, aby następował przełom. I w walce o usunięcie tych 15 procent znajdziecie sprzymierzeńców nie tylko wśród bezpośrednio zainteresowanych. Rzecz w tym, aby troskliwie i wnikliwie wyłuskać te 15 procent, a wtedy masy zapewnią GRN pomoc i współpracę.

Konkurs czytelniczy byłby dla was dobry gdyby zakończył się nagrodami i chłopi rozeszli się po chałupach. A dlaczego wy nie widzicie, że przez konkurs chłopi sami umitygowali swoje niesłuszne na „zapas“ rozciągane żale? Sami wyłuskali ze 100 proc. owe wspólne, ważne dla całego życia gromady 15 proc.

I o to się biją; o to co słuszne nie dla każdego, jakby chciał, ale co słuszne, co konieczne dla rozwoju i przemian na wsi.

Ale wróćmy do waszego rozumowania. Ja widzę, że stara Potyrałowa ma sto procent racji. Tak samo Mitręga. Czemuż nie załatwiacie ich sprawy?

— Z Mitręgą jest co innego. My zawsze mamy czas gospodarstwo odebrać; z tym się jednak nigdy nie trzeba śpieszyć. Nam zależy na tym, żeby gospodarz na gospodarstwie siedział, a nie zrzekł się go.

— W takim razie czemuż to innym tak prędko załatwiliście podanie o zrzeczenie? Kruczkowi, Niziurze, Cisłakowi, Batorkowi? Oni nie mieli tak ważnych powodów do zrzeczenia, jak Mitręga.

— To się zdarza. Nieraz się ludziom idzie zanadto na rękę, a potem z tego kłopoty. Ale wy musicie więcej z nami współpracować, lepiej byście na tym wyszli. Bo jeżeli tak dalej pójdzie, to się tam u was drzwi nie zamkną, ciągle was będą z tymi podaniami i skargami nachodzić. A i wy sami też w złym świetle się pokażecie.

Henryk Worcell

Z Dziennika podróży nauczycieli polskich do ZSRR

ODWIEDZINY W RADZIECKIEJ SZKOLE

W styczniu i lutym br. przebywała w Związku Radzieckim 15-osobowa delegacja nauczycielstwa polskiego, zaproszona przez Ministerstwo Oświaty RSFSR i Wszechzwiązkową Centralną Radę Związków Zawodowych. Delegacja zwiedziła Moskwę, Leningrad, Kijów, zaznajamiając się z pracą szkół, instytucji pedagogicznych i oświatowych, domów dziecka i innych placówek wychowawczo-oświatowych.

Z notatek członków delegacji powstał „Dziennik podróży" pod redakcją Bronisława Milewicza i Stanisława Macha. Stanowi on zbiór cennych materiałów dla pedagogów i nauczycieli polskich.

Poniżej zamieszczamy fragment „Dziennika".

Z powodu 30-stopniowego mrozu nie moglibyśmy się spotkać z młodzieżą, bo szkoła w tym dniu nie była czynna.

Dyrektor szkoły, tow. Iwan Aleksandrowicz Pawlenko — zasłużony nauczyciel Związku Radzieckiego, informuje nas na wstępie o zagadnieniach ogólnych, związanych z historią szkoły i organizacją procesu dydaktyczno-wychowawczego.

Szkoła mieści się w dzielnicy kolejowej. Budynek wzniesiony został w r. 1862; do roku 1918 mieściła się tu dwuklasówka, realizująca program pięcioletniego nauczania. Do dawnej szkółki dobudowano po rewolucji obszerny gmach, w którym uczy się 1.000 chłopców w 30 klasach. Obecnie szkoła realizuje program pełnej szkoły średniej (10-letniej). Dolna część budynku przeznaczona jest na pracownie i gabinety. Sale lekcyjne zdajdują się na trzecim piętrze. Dyrektor mówi, że obecny budynek jest już przestarzały i nie wystarcza dla potrzeb szkoły.

Grono nauczycielskie liczy 52 osoby. Wszyscy nauczyciele posiadają pełne kwalifikacje. W klasach 1—4 mają nauczyciele wykształcenie średnie, od klasy 5 do 10 wyższe (z ukończonym instytutem lub uniwersyteckim wykształceniem). Staż pracy grona nauczycielskiego różny (od roku do 40 lat).

Nauczyciele klas młodszych (1—4) pracują po 24 godziny tygodniowo, a klas starszych (5—10) 18 godzin. Zasadnicze pobory nauczyciela równają się uposażeniu inżyniera. Na wsi korzysta nauczyciel z bezpłatnych mieszkań. Nauczyciel wiejski może prowadzić małe gospodarstwo, które jest wolne od świadczeń. Praca nauczyciela jest bardzo ceniona. W wielu wypadkach nauczyciele są członkami Rad Rejonowych i Obwodowych. Społeczeństwo otacza szkołę i nauczyciela powszechnym szacunkiem.

— Poglądowość postawiona została w naszej szkole na jednym z naczelnych miejsc. Upoglądowieniu nauczania służą gabinety, pracownie i laboratoria. Każdy gabinet ma swój aparat filmowy i bibliotekę przedmiotową, posiadającą literaturę naukową i popularno - naukową (np. geograficzna — 2 tys. książek, historyczna — 3 tys. książek). Z bibliotek przedmiotowych korzystają uczniowie i nauczyciele. Dużą rolę w upoglądowieniu nauczania spełniają laboratoria.

Szkoła wykorzystuje zainteresowania ucznia i organizuje odpowiednie kółka, działające na bazie istniejących gabinetów i pracowni. Każde kółko zbiera się raz w tygodniu. Dużym powodzeniem cieszy się wychowanie fizyczne i sport. Wychowaniem sportowym objęto wszystkich uczniów od klasy 1—10. Szkoła nr 315 otrzymała w roku szkolnym 1951-52 — 60 dyplomów uznania za udział w różnych imprezach sportowych. Dla uczniów klasy 1 i 2 organizuje się specjalne klasowe biblioteki dziecięce. Dzieci czytają i omawiają z nauczycielem treść książek. Biblioteka ogólnoszkolna liczy 30 tysięcy książek. Znaczna liczba uczniów posiada własne biblioteczki domowe. Szkoła prenumeruje dużą ilość gazet i czasopism.

Wspólnym celem organizacji komsomolskiej i pionierskiej jest walka o osiągnięcie jak najlepszych wyników pracy szkolnej. Organizacja komsomolska i pionierska obejmuje w szkole, o której mowa — prawie całą młodzież.



Gruzińska SRR. Zasłużona nauczycielka szkoły gruzińskiej — Maria Marebiszwili.

Między szkołą a rodzicami istnieje bardzo ścisła współpraca. W ciągu roku szkoła organizuje 3 — 4 konferencje ze wszystkimi rodzicami. Prócz tego odbywają się klasowe zebrania rodziców. Na zebraniach z rodzicami wygłaszają prelekcję wybitni specjaliści i lekarze.

Komitet Rodzicielski niesie wydatną pomoc szkole: odwiedza dzieci, organizuje pomoc w nauce i imprezy dochodowe na potrzeby szkoły. Kontakty z rodzicami i współpraca dyrekcji z Komitetem Rodzicielskim podnoszą na wyższy poziom pracę szkoły oraz podwyższają świadomość pedagogiczną rodziców. Dzień przyjęcia 7-latków w mury szkolne jest obchodzony bardzo uroczyście. Dzień rozpoczęcia i zakończenia roku szkolnego jest wielkim świętem szkoły i rodziców oraz całego społeczeństwa. Rok szkolny kończy się w każdej klasie wspólną zabawą dzieci, nauczycieli i rodziców.

Po tej ogólnej informacji dyrektora zwiedziliśmy pomieszczenia szkolne. O ile ściany korytarzy są bardzo bogato dekorowane — to w klasach — poza portretami Lenina i Stalina — nie ma żadnych dekoracji, ani haseł. Pozwala to uniknąć rozpraszania uwagi ucznia podczas lekcji. Na korytarzach szkoły widzimy: portrety i rzeźby rewolucyjnych działaczy, naukowców, poetów, pisarzy. Szczególną uwagę zwraca mapa z ozdobnym napisem „Dyżurna mapa świata". Mapa spełnia jak gdyby role codziennego przeglądu wydarzeń. Na marginesie mapy umieszcza się codziennie wycięte z gazet ciekawsze wiadomości (względnie ilustracje) z kraju i ze świata. Każdy wycinek połączony jest kolorową nitką z tą miejscowością (punktem) na mapie, gdzie opisane wydarzenie miało miejsce. W hallu widzimy tablice z nazwiskami absolwentów, którzy w latach ubiegłych ukończyli szkołę ze złotym i srebrnym medalem. Kwiaty, artystyczne plansze, hasła i gazetki stwarzają miłą atmosferę w gmachu.

W gabinecie geografii przyglądamy się z wielkim zainteresowaniem makietom i prostym przyrządom, przy pomocy których długoletni nauczyciel — doświadczony geograf demonstruje nam metody swojej pracy. Oto zwykły szklany klosz, wypełniony w 2/3 wodą; na jego dnie miniaturowa turbina. Włącza się prąd, turbina wiruje i wprawia w ruch cząsteczki wody. W krótkim czasie faluje powierzchnia wody. Przyrząd ten doskonale ilustruje wpływ atmosfery na falowanie morza.

Zwracają naszą uwagę: model studni artezyjskiej z tryskającą fontanną wody; pomysłowo wykonany przekrój zwykłej studni z korbowodem i z czerpakiem; duża ilość map i globusów. Na każdego ucznia biorącego udział w zajęciach przypada 1 globus.

Geograf mający ponad 40 lat pracy zawodowej (uczył jeszcze w szkole carskiej) informuje nas z dumą i radością, że jeszcze nigdy nie miał takich dobrych warunków pracy, jak obecnie. Omawiając rolę tablicy w upoglądowieniu lekcji geografii, zaznacza, że tablica wykorzystywana jest w dwóch kierunkach: dla rysowania kredą krajobrazów w związku z wykładami i tekstami, oraz w kierunku zapoznania ucznia z mapą. Ilustrując pierwszy sposób wykorzystania tablicy w nauczaniu geografii, nauczyciel w naszej obecności rysuje na tablicy obraz przedstawiający skraplanie się na stokach górskich pary wędrującej od morza. Góra i perspektywiczny obraz morza z dymiącym w oddali statkiem, kierunki unoszącej się pary, mały obłoczek nad szczytem górskim i temat: „Skraplanie pary i opady w górach" — stał się bardzo interesujący i zrozumiały.

W początku lutego br. prasa i radio poświęcały wiele miejsca powodzi w Anglii i w Holandii. Obok mapy na tablicy wydarzeń zawiesili uczniowie ciekawe wycinki oraz ilustracje na temat klęski powodzi; od wycinków przeprowadzono kolorowe nici do odpowiednich miejsc na mapie. W gabinecie geografii, jak i w każdym innym, znajduje się aparat filmowy z mnóstwem ciekawych filmów naukowych; wiszą tam również różnego rodzaju tablice.

Dzięki takiej metodzie pracy zjawiska geograficzne stają się jasne, zrozumiałe, wyjaśnione w przyczynach i skutkach, a sam przedmiot jest żywy i pociągający. Nie ma też w tej szkole ocen niedostatecznych z geografii.

Gabinet historii posiada wiele przeróżnych modeli i makiet zamków, wykonanych przeważnie z masy papierowej lub tektury, mnóstwo ilustracji, wspaniałe rysunki scen historycznych, ryciny przedstawiające ludzi pierwotnych itp. Większość pomocy wykonali członkowie kółka historycznego pod kierunkiem nauczycielki. W gabinecie przygotowano i wypróbowano w praktyce szkolnej serię cennych ilustracji do nauki historii w klasach młodszych, które zostaną wydane drukiem.

W gabinecie biologii oglądamy dużą ilość szaf, w których tematycznie zgrupowano eksponaty, np. szafę szkieletów, przyborów optycznych, wnętrzności (organów), preparatów (dużych i miniaturowych) zielniki itp. W sali wykładowej wiele mikroskopów (1 mikroskop na 2 uczniów), lampa projekcyjna, aparat filmowy, hodowle doświadczalne roślin i zwierząt, modele owoców (z wosku), mapy, portrety wybitnych przyrodników i wiele innych związanych z programem nauczania.

W estetycznie urządzonej auli koncentruje się życie artystyczne szkoły, odbywają się uroczystości i obchody.

Działalność szkoły nr 315 daje zwiedzającym pojęcie o kierunku przekształcania pracy szkoły radzieckiej, zmierzającej do realizacji postulatu nauczania politechnicznego.

PAWEŁ LESZAK

JAK ŻYJĄ NAUCZYCIELE WIEJSCY W USA

W STANACH Zjednoczonych od wielu pokoleń obowiązuje ustawa o powszechnej i bezpłatnej nauce. „Powszechność" ta istnieje jednak tylko na papierze; miliony dzieci ubogich rodzin amerykańskich nie korzysta wcale z dobrodziejstw oświaty.

Według oficjalnych danych, w październiku 1947 r. było w USA dwa miliony osiemset dorosłych analfabetów, którzy nigdy nie chodzili do szkoły. Obecnie ponad 2 miliony dzieci w wieku szkoły podstawowej nie uczy się zupełnie, a blisko milion dzieci na wsi przebywa w szkole około 60 dni w roku.

Sytuacja ta wynika z różnych przyczyn. Nędza w domu zmusza tysiące dzieci do pracy. W wielu zapadłych okolicach nie ma w ogóle szkoły. W niektórych miejscowościach budynki szkolne świecą pustkami z braku nauczycieli. W innych lokal szkolny jest za ciasny, by pomieścić całą miejscową dziatwę.

Najgorzej rzecz się przedstawia na wsi. Dzieje się tak po prostu dlatego, że w USA szkoły wiejskie przeznaczone są głównie dla dzieci biedoty, o których potrzeby władze burżuazyjne niewiele się troszczą.

W krajach europejskich chłopi od wieków skupieni są w wioskach, powstałych w okresie poddaństwa. Inaczej rzecz się ma w ogromnej większości stanów USA, osiedlonych dopiero w ubiegłym stuleciu. Na przestrzeni setek mil nie spotyka się tam ani jednej wsi, bo zagroda każdego farmera mieści się zazwyczaj pośrodku jego pól. Natomiast co 20 — 30 kilometrów istnieje tam miasteczko, stanowiące ośrodek handlowy i administracyjny danego terenu. Takie miasteczka — podobnie jak bogatsze dzielnice miast — mają ładne budynki szkolne, w których uczą się dzieci miejscowych kupców i urzędników państwowych. Do szkół tych chodzą też dzieci zamożniejszych rolników z okolicy, których stać na opłacanie codziennego przejazdu samochodem. Biedniejsze dzieci uczęszczają do wiejskich szkółek, rozrzuconych w głębi kraju.

Opis tego rodzaju szkół daje encyklopedia „The Pageant of America" (krajobraz Ameryki). Na stronicy 290 trzeciego tomu tej encyklopedii czytamy:

„Jednoizbowa szkółka, której nauczyciel uczy dzieci w różnym wieku i z różnych klas, pozostaje nadal typową szkołą obwodów rolniczych... Tu i ówdzie spotyka się wybieloną, dobrze utrzymaną szkołę, mającą nieraz dwa lub trzy pokoje. Na ogół jednak szkoła jest małą, jednoizbową, nawpół rozpadającą się chałupą przy samotnej drodze... W jednym kąciku stoi kubeł z wodą i blaszany kubek, a w drugim stale dymiący piecyk".

Siedemdziesiąt tysięcy szkół na wsi amerykańskiej mieści się dziś w wilgotnych piwnicach, oraz w otwartych stodołach, spichrzach i ruderach. „Żaden szanujący się farmer — oświadczył niedawno przywódca Narodowego Zrzeszenia Oświaty, dr Howard Dawson — nie będzie trzymał swych świń w takich norach, jakie często służą za pomieszczenia szkolne".

Dr Benjamin Fine, jeden z redaktorów burżuazyjnego dziennika „New York Times", po zwiedzeniu wielu szkół w różnych częściach kraju, wydał ostatnio książkę, zatytułowaną „Oszukuje się dzieci". Ten burżuazyjny pisarz stwierdza, że w warunkach, w jakich odbywa się nauka w szkołach wiejskich, dzieci mało z niej korzystają. Autor książki daje następujący opis szkoły wiejskiej dla dzieci murzyńskich, którą odwiedził:

„Szkoła mieściła się w dawnym kurniku... Zajęcia odbywały się w dwóch klasach... Około 40 uczniów stłoczonych było w strasznej ciasnocie w jednej połowie pomieszczenia, a tyleż w drugiej. Stary blaszany piecyk, stojący w kącie, dymił niemiłosiernie. Lepianka nie miała okien; światło dzienne nie docierało do jej wnętrza. Na 40 uczniów było mniej niż tuzin podręczników. W szkole nie było ani tablicy i kredy, ani piór lub ołówków...".

Aby położyć kres temu smutnemu stanowi rzeczy, należałoby przede wszystkim przystąpić do budowy dziesiątek tysięcy nowych szkół. Ale rząd waszyngtoński, opanowany przez bogacących się na wojnach monopolistów, wciąż zmniejsza wydatki na szkolnictwo, by zasilić fundusze przeznaczone na wyścig zbrojeń. Tak np. wydatki na oświatę, które w 1934 r. obejmowały jeszcze 3,8 proc. budżetu państwowego USA, w tym roku stanowią mniej od 1 procentu.

Redukcja wydatków na szkolnictwo godzi też w nauczycieli. Wychowawcy należą w Stanach Zjednoczonych do najniżej opłacanych ludzi pracy. Liberalny działacz amerykański Robert Little, w artykule zatytułowanym „Płace nauczycieli — hańbiącym piętnem dla narodu", pisał w 1949 r.:

„Michigan jest bogatym stanem, ale płaci swym nauczycielom mniej, niż śmieciarzowi... W trzydziestu stanach płaca nauczyciela jest znacznie niższa od tej, którą otrzymuje sprzątaczka w instytucjach państwowych".

Szerzony przez władców USA kult dolara sprawia, że w kraju tym ocenia się człowieka w zależności od jego dochodu. Nędznie wynagradzani nauczyciele są więc traktowani jako ludzie „małowartościowi". W artykule zamieszczonym w końcu 1939 r. na łamach czasopisma dla spraw wychowania „Education magazine", czytamy:

„Pracowników państwowych, chociażby ich mózgi nie posiadały ani jednej fałdy i były gładkie jak powierzchnia szklanki, zalicza się do lepszego towarzystwa. Nauczyciel zaś zawsze ma poczucie mniejszej wartości i czuje się stale upokorzony".

Niskie płace, ciężkie warunki pracy oraz powszechny brak szacunku dla ich powołania, skłaniają mnóstwo nauczycieli do porzucania swego zawodu. W rezultacie, 72 tysiące etatów nauczycielskich pozostało w roku bieżącym nie obsadzonych, wobec czego tysiące szkół elementarnych, szczególnie na wsi, zostało zamkniętych.

90 procent wykładowców w szkołach podstawowych — to kobiety. Na wsi odsetek jest jeszcze wyższy. Nauczycielkami są tam przeważnie stare panny, które gwoli zachowania swych posad muszą rezygnować z życia rodzinnego. W trzydziestu kilku stanach USA zamążpójście nauczycielki stawia ją bowiem poza szkołą.

Przed paru laty liberalna amerykańska działaczka May Arbatnott wydała broszurę zatytułowaną „Nauczycielki są ludźmi". Autorka broszury apelowała do kół rządzących swego kraju, by zlitowały się nad smutną dolą setek tysięcy nauczycielek. „Jest naturalne — pisała Arbatnott — że zdrowa kobieta pozbawiona możności posiadania rodziny i wychowywania dzieci, pozbawiona osobistego życia, nie może mieć zdrowych nerwów. Wśród nauczycielek jest bardzo wiele samotnych wbrew własnej woli".

Wśród wpływowych kół, decydujących o warunkach życia nauczycieli, apel ten przebrzmiał bez echa. Nigdzie nie zniesiono drakońskich przepisów, pozbawiających wychowawczynie, niczym zakonnice, radości życia rodzinnego. Zresztą władze wielu obwodów rolniczych stawiają nauczycielom jeszcze większe wymagania. Opowiada nam o tym amerykański profesor Peter Odegard, który pisze na str. 83 — 84 swej książki „From American Public Mind" (O amerykańskiej opinii publicznej"):

„Czy pani pali? jeśli tak, to trudno będzie pani znaleźć posadę w stanach Kalifornii, New Jersey, Tennessee itd.". Fryzowane włosy są dla wielu komisji szkolnych objawem niemoralności. Znamienny jest następujący urywek w kon-

(Dokończenie na str. 7)

BOŻENA KRZYWOBŁOCKA

Z dziejów przyjaźni polsko-radzieckiej

POWSTANIE NADBAJKALSKIE

SYBIR... Białe połacie śnieżnych pól, nieprzebyte lasy, rzadkie osiedla ludzkie. Na białym śniegu ciągną się ślady okutych kajdanami nóg więźniów. Płoną na bezkresnych pustkowiach ogniska; grzeją przy nich ręce carscy strażnicy więzienni — oto obraz carskiego Sybiru, pozostawionego przez malarzy i pisarzy — byłych skazańców-katorżników.

Na pustkowia Syberii zsyłali carowie powstańców przeciw ich władzy. Pierwszych Polaków osiedlono na Syberii po roku 1772. Wśród polskich zesłańców syberyjskich żyły tradycje walk przeciw carskiemu samowładztwu. Długie lata wspominano legendarnego Maurycego Beniowskiego — byłego konfederata barskiego, który po udanym powstaniu więźniów zbiegł z Kamczatki na Madagaskar. Długo krążyły między osiedleńcami legendy o spiskach byłych powstańców 1831 r., którzy pragnęli uwolnić swych rodaków z katorgi. W 1936 r. dojrzewał plan zbiorowej ucieczki Polaków zatrudnionych w gorzelni aleksandrowskiej koło Irkucka, wreszcie około roku 1855 szykowano zbiorową ucieczkę z Akatuja.

Po powstaniu 1863 roku zesłano na Syberię około 16.500 ludzi. Niesłychanie ciężkie warunki pracy, nieludzkie obchodzenie się dozorców - sługusów carskich, tęsknota za krajem rodzinnym — zżerały więźniów. Wystarczyło wzbudzić najmniejszą nadzieję powrotu do Polski, aby porwać masy do bohaterskich czynów.

W takich warunkach w więzieniu irkuckim zrodził się śmiały plan buntu przeciw carskim oprawcom. Plan ten przewidywał równoczesne wystąpienie wszystkich grup osiedleńców i katorżników na całej Syberii. Mieli oni napaść na straże, odebrać im broń, żywność, środki transportowe — i wyruszyć przez tajgę do Mongolii. Wydostawszy się na morze, zamierzali zdobyć okręt i udać się do Ameryki.

Na czele zawiązanego spisku stali: Gustaw Szaramowicz — muzyk, który w 1863 r. walczył na Kijowszczyźnie; Narcyz Celiński — były podporucznik pułku sewastopolskiego, zbiegły do oddziału powstańczego, Władysław Kotkowski — wykonawca wyroku Sądu Narodowego na policjancie Felknerze. Udział w spisku brały najradykalniejsze elementy z powstania 1863 r.: rzemieślnicy staromiejscy — krawcy, piekarze, szewcy, stolarze, ślusarze.

Równolegle ze spiskiem irkuckim działało sprzysiężenie w więzieniu krasnojarskim, na czele którego stali Paweł Landowski — dowódca straży bezpieczeństwa narodowego w powstaniu 1863 r. W spisku krasnojarskim brali również udział Rosjanie — więźniowie polityczni: Mikołaj Serno-Sołowiewicz, Władymirow i Wietosznikow. Łączyły ich węzły serdecznej przyjaźni z zesłańcami polskimi. Serno-Sołowiewicz przywódca zesłańców rosyjskich liczył na poparcie powstania przez ludność miejscową Syberii i spodziewał się, że doprowadzi ono do ruchu rewolucyjnego na Syberii, a następnie w całej Rosji. W głuchym pustkowiu syberyjskim — w katordze krzepła i rozwijała się przyjaźń więźniów dwu bratnich narodów: Polaków i Rosjan, przygotowujących się do walki przeciw wspólnemu wrogowi — caratowi. Jeden z uczestników zebrań wydał krasnojarskich spiskowców. Na szczęście żandarmi nie przypisywali do spisku wagi. Władze ograniczyły się do rozesłania do różnych więzień wszystkich podejrzanych. Grupa irkucka działała jednak nadal.

W tym czasie siłami więźniów budowano trakt krugobajkalski nad brzegiem jeziora Bajkał. Praca była bardzo ciężka. Więźniowie wyrąbywali drogę w lodzie i skałach. pracując po pas w wodzie małych wartkich strumyków. Do budowy ściągnięto około 719 skazańców, którzy pracowali grupami, nadzorowani przez żandarmów.

W nocy na 25 czerwca 1866 r. powstanie wybuchło. Skazańcy zaatakowali konwojentów, odbierając im broń i żywność. Na hasło powstania zbiegli do oddziałów osiedleńcy i katorżnicy, przynosząc kosy, kije z wbitymi w nie gwoździami, szable i strzelby. Powstańcy na ogół rekrutowali się z młodzieży w wieku 17—25 lat.

Przerażony gubernator wysłał przeciw powstańcom specjalnie uzbrojone oddziały, składające się z 1500 ludzi. Demokratycznie nastawieni oficerowie rosyjscy nie chcieli dowodzić walką przeciw Polakom. W ten sposób wyrazili oni swą solidarność z walczącym narodem polskim.



Gustaw Szaramowicz — jeden z bohaterskich przywódców powstania.

Daje temu wyraz wybitny rewolucjonista rosyjski Piotr Kropotkin, który w swoich „Pamiętnikach rewolucjonisty" pisze: „Aleksander (brat Kropotkina) znajdował się w Irkucku i jego secina wysłana została przeciw Polakom. Na szczęście komendant pułku, w którym służył mój brat, znał go dobrze i pod jakimś pozorem powierzył komendę nad oddziałem innemu oficerowi. Inaczej Aleksander, oczywiście, odmówiłby spełnienia rozkazu. Gdybym wtedy znajdował się w Irkucku, postąpiłbym tak samo". Inny oficer rosyjski — Strojnowski przeszedł na stronę powstańców i w potyczce dostał się do niewoli.

Stosunek powstańców do ludności syberyjskiej i ludności miejscowej do powstańców — był bardzo przyjazny.

Powstańcy usiłowali zrealizować swój zamiar przedostania się do Chin. Stanęło im jednak na przeszkodzie słabe uzbrojenie, brak żywności, nieznajomość terenu. Po pierwszych potyczkach element szlachecki zrezygnował z walki, uciekając z pola bitwy i poddając się żandarmom. Oficer Strojnowski dostał się do niewoli. Pędząc na czele złożonego wyłącznie ze szlachty oddziału, spostrzegł nagle, że został przez nich opuszczony. Oddział Kotkowskiego, po wielodniowym błądzeniu w tajdze, dostał się w ręce wroga.

Wiele oddziałów broniło się do ostatka. Głodni, zmęczeni, cierpiący na szkorbut i malarię ludzie próbowali przebić się do granicy chińskiej. 9 lipca 1866 r. zakończone klęską starcie nad rzeką Ito zakończyło powstanie nadbajkalskie.

Jesienią 1866 r. odbył się w Irkucku sąd polowy. Stanęło przed nim 680 oskarżonych, czyli wszyscy pozostali przy życiu z 719 budowniczych traktu krugo-bajkalskiego.

Był to prawdziwie carski sąd. Chociaż rozprawa była publiczna, podsądni nie mieli obrońców. Komplet sądzący wyrokował na podstawie wymuszonych zeznań.

Piotr Kropotkin piszący z owej rozprawy sprawozdanie ku niezadowoleniu gubernatora drukował je w petersburskim piśmie „Bierżewyje wiedomosti". Kropotkin pisał: „Wszyscy przestępcy, z wyjątkiem bardzo niewielu trzymają się wspólnie taktyki zaprzeczania i osłaniania nie tylko współtowarzyszy lecz i głównych winowajców".

Jeden z głównych oskarżonych Iljaszewicz mówił na procesie:

„Będziecie sądzić mnie przed oczami całej Rosji, przed oczami całej Europy. Głos ludu wypowie z czasem sąd o naszych czynach, a krew skazanych spadnie na głowy wasze"...

Sąd skazał Szaramowicza, Celińskiego, Rajnera i Kotkowskiego na karę śmierci, Arcimowicza i Iljaszewicza — na bezterminową katorgę, pozostałym więźniom przedłużono ich stare wyroki, 122 skazano na karę chłosty.

Wyroki śmierci wykonano 18 listopada 1866 roku w Irkucku. W mglisty, zimny poranek za rogatką zebrały się tłumy ludzi. Szaramowicz dochodząc na miejsce kaźni, zawołał: „Jeszcze Polska nie zginęła! Przyjdzie czas — swoje weźmie!"

Odgłos salw i warczenie werbli zagłuszyły głuchy szloch tłumu.

Na cmentarzu irkuckim usypano nowe mogiły. Nieznana ręka wypisała na nich napisy w języku rosyjskim:

„W roku 1863 walczył za ojczyznę, wolność i braterstwo. Zginął za ziemię ojczystą, pragnąc ją widzieć szczęśliwą i wolną".

Tak naród rosyjski uczcił pamięć polskich bojowników o wolność.

Bożena Krzywobłocka

TADEUSZ NOCOŃ

Świetlica gminna w Luboszycy

W gminie tej każda wieś przeszła na gospodarkę kolektywną. W każdej gromadzie jest świetlica albo jakiś zespół artystyczny. Centralna, gminna świetlica znajduje się w Luboszycy i figuruje na etacie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jest kino. A zatem... organizacja życia kulturalnego wydaje się wystarczająca. Nasycenie terenu pracą kulturalno-oświatową nie powinno przedstawiać trudności.

Gdy się jednak rozmawia z kierowniczką świetlicy gminnej ob. Janiną Kowalczyk — powstają wątpliwości. Ilość wypożyczeń książek z biblioteki świetlicowej spada. Leżą sterty gazet, które mało kto czyta. Trudno zebrać grupę młodzieży, żeby dokonać obsady sztuki teatralnej. Jest chór, ale próby śpiewu odbywają się pamięciowo i słuchowo, bo nie ma człowieka, który by czytał nuty. Jest na terenie gminy organizacja zetempowska, jest Związek Samopomocy Chłopskiej, istnieją koła Ligi Kobiet, ale kierowniczka gminnej świetlicy jest osamotniona. Przychodzi jej niekiedy z pomocą kierownik miejscowej szkoły i to wszystko.

W tym samym budynku, co świetlica, znajduje się stałe kino wiejskie. To powinno być magnesem ściągającym ludzi i do świetlicy. A jednak tak nie jest. Kierowniczka nie przykłada się do roboty... Czeka na inicjatywę kierownika szkoły. Czeka również aż... znajdzie się chętna młodzież.

W dniu 10 października nie miała jeszcze programu pracy na ten miesiąc. A ludzie — między innymi ob. ob. Król, Kopacz i Gładyszek — mówią: zespół świetlicowy z Irzondzy wystawił w Luboszycy „Balladynę" a ob. Kowalczyk co?

Praca gminnej świetlicy przechodzi kryzys. Kryzys ten przejawia się:

1. w osłabieniu czytelnictwa świetlicowego;
2. w uchylaniu się młodzieży od efektywnej pracy świetlicowej;
3. w braku aktywu w pracy kulturalno - oświatowej.

Jest on o tyle niezrozumiały, że ma miejsce w gminie uspółdzielczonej i nie jest wcale spowodowany brakiem kulturalnych zainteresowań ze strony społeczności spółdzielczej. Wręcz przeciwnie; pretensja, że zespół z Irzondzy zagrał „Balladynę" (w wyjątkach), a gminna świetlica nie zdobyła się na podobny wyczyn, świadczy o potrzebie doznań kulturalnych i o ambicji przodownictwa wsi, stanowiącej centrum gminy.

Gdzie leży sedno sprawy?

Obecna kierowniczka świetlicy objęła to stanowisko przed trzema miesiącami. Jest osobą niezbyt przygotowaną do tej odpowiedzialnej funkcji. Do pracy w wystawieniu jednej ze sztuk radzieckich z okazji Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej („Harry Smiths" lub „Okno w lesie") przystąpiła dopiero 13 października — i to w sposób niezdecydowany. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że okres prowadzenia prób musi być w zespole amatorskim dłuższy niż w teatrze zawodowym, staje się jasne, że zespół będzie mógł wystąpić na scenie dopiero w końcu listopada. A więc świetlica w Luboszycy w październiku nie wykona zadania kulturalnego, związanego z tym miesiącem.

Ob. Kowalczyk nie umie zainteresować młodzieży pracą w świetlicy. Mając w sąsiedztwie kino — nie wykorzystuje tej sytuacji. Nie potrafiła np. zorganizować pogadanek dyskusyjnych na temat wyświetlanych filmów. A czytelnictwo? Kierowniczka nawet nie doradza czytelnikom wyboru literatury i nie zaspokaja ich zainteresowań.

A więc pierwsza przyczyna kryzysu — **zagadnienie personalne kierownictwa.**

Świetlica jest na etacie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Nie znaczy to wcale, że świetlicą mają się interesować tylko inspektorzy tego ministerstwa. Wręcz przeciwnie, GRN, a przede wszystkim Gminny Zarząd Samopomocy Chłopskiej powinien czuwać nad jej działalnością, chodzi bowiem o celowość wydawanych funduszów państwowych. A tymczasem? Przewodniczący GRN nie zagląda do świetlicy; nie bywa w niej także prezes Gminnego Zarządu SCh. Nieprzyjemnie im wysłuchiwać, że piec w świetlicy wymaga natychmiastowego, gruntownego remontu, a obiecywali pomoc. Nieprzyjemnie (podobno) kłuły ich skecze i deklamacje w świetlicy na temat kumoterstwa i biurokratyzmu. Mają o to pretensje do kierownictwa świetlicy. Niemniej jednak obywatelski i polityczny obowiązek oddziaływania przez pracę świetlicową na gminną społeczność powinien ich tym bardziej zaktywizować.

Świetlica — to ważny instrument w pracy masowo - politycznej. W Związku Radzieckim działalność świetlic, bibliotek i radiowęzłów, jest otoczona szczególną troską rad, stowarzyszeń społecznych i partii. Wielką aktywność w tej dziedzinie wykazuje młodzież komsomolska. A w Luboszycy ani Gminny Komitet PZPR ani Zarząd Gminny ZSL, ani Gm. Zarząd ZMP nie analizowały pracy gminnej świetlicy. Nie kontaktuje się z nimi kierowniczka świetlicy. Działacze tych organizacji także omijają świetlicę. Brak jest również współpracy bibliotekarza gminnego ze świetlicą. Nie odbył się ani jeden „wieczór książki" z dyskusją.

To jest druga przyczyna kryzysu: **brak zainteresowania organizacji społecznych i politycznych pracą w świetlicy.** Nic dziwnego, że brak świetlicowego aktywu, a kierownik świetlicy jest osamotniony.

*

Jest jesień i zbliża się zima. Przed świetlicą gminną w Luboszycy stoi poważne zadanie. Kierownictwo świetlicy musi zmienić styl pracy, a organizacje społeczne i polityczne — stosunek do pracy świetlicowej. Czytelnictwo, teatr, zespoły artystyczne — to nie tylko rozrywka, ale i pogłębienie oświaty, a w dalszej perspektywie — wzrost wydajności pracy i produkcji rolnej. A gmina Luboszyce jest gminą uspółdzielczoną. Stąd powinna płynąć ambicja przodownictwa w dziedzinie kultury.

Tadeusz Nocoń

GRZEGORZ MIERNIK

Kiedy nadejdzie zapowiedziana pomoc?

Wiele już powiedziano o znaczeniu polityczno - kulturalnym gazetek gromadzkich. Mobilizują one do wykonania planów gromadzkich, szczególnie w dziedzinie produkcji roślinnej i zwierzęcej. Chwalą zasługi i podkreślają osiągnięcia pracujących chłopów. Tępią przesąd i zacofanie nieuświadomionych. Walczą z plotką i wrogą działalnością kułaków i spekulantów. Omawiają wszelkie aktualne sprawy gromady. Mobilizują chłopów do świadomego i punktualnego wywiązywania się z obowiązków wobec państwa.

Wszystkie te walory stwierdza się często, ale jak mało się robi, żeby gazetka była redagowana dobrze, działała skutecznie! Żeby nie była streszczeniem gazet centralnych, lecz je uzupełniała, poruszając bieżące sprawy gromady, których — ze względu na zbyt lokalny charakter — nie poruszają pisma centralne.

Owszem, od czasu do czasu próbowano coś uczynić w tej sprawie. Związek Samopomocy Chłopskiej, wydał w 1949 r. krótką, 4 stronicową instrukcję „Jak redagować gazetkę ścienną". W 1951 roku organizował terenowe wystawy gazetek gromadzkich. W marcu 1952 roku urządził w Warszawie I Ogólnokrajową Naradę Redaktorów Gazetek Gromadzkich.

Narada ta wykazała, że gazetkę gromadzką zrodziły palące potrzeby bieżącego życia, że zaczęli ją redagować ludzie, mający najlepsze chęci, ale nie przygotowani do tego rodzaju pracy. Jedni, jak Ludwik Maj z Sidziny pow. Myślenice, czy Józef Staporek ze Skuliszewa pow. Drawsko, łatwiej dawali sobie radę z nieznaną sobie formą pracy. Inni, jak Józefa Kołodziejczyk z Sycowa, z wielkim nakładem pracy mozoli się przy pierwszych gazetkach. Ale jedni i drudzy czuli potrzebę fachowej pomocy, kiedy zaczynali, a teraz odczuwają jeszcze bardziej, gdy zrozumieli, jakie zadania stoją przed zespołem redakcyjnym gazetki gromadzkiej. „U nas robiło się gazetki, ale nie tak, jak się powinno je redagować. Nie mieliśmy wskazówek" — żalił się Ratajczak z Kaczanowa.

Dlatego Ratajczak i kilka tysięcy innych członków zespołów redakcyjnych oczekują konkretnej pomocy w redagowaniu gazetek gromadzkich. Pragną jej również i ci aktywiści gromadzcy, którzy dopiero zamierzają przystąpić do tej pracy, czują potrzebę gazetki w gromadzie, ale nie wiedzą, jak się do jej redagowania zabrać. Żądają wskazówek instruktorzy kulturalno-oświatowi, którzy spotykając niewłaściwie redagowane gazetki, powinni udzielić wskazówek zespołom redakcyjnym, a nie są pewni, czy uczynią to dobrze.

Wydawane dotychczas doraźne instrukcje wskazywały na to, *co* trzeba uwzględnić w gazetkach gromadzkich, ale nie dawały wskazówek, *jak* to trzeba zrobić.

Potrzeba szczegółowych wskazówek, dotyczących redagowania gazetek gromadzkich, staje się więc jedną z palących potrzeb kulturalno - oświatowych. Zarząd Główny ZSCh i Ośrodek Instrukcyjno-Metodyczny Centralnego Zarządu Świetlic, Domów Kultury i Twórczości Amatorskiej postanowiły dopomóc zespołom redakcyjnym. Zapowiedziały więc, że w najbliższym czasie przygotują i wydadzą broszurę, która będzie zawierała szczegółowe wskazówki, jak redagować gazetkę gromadzką. Tymczasem rok już dawno minął, a broszury jeszcze nie ma.

W zapowiedzianym konkursie gazetek gromadzkich w związku z 10-leciem Polski Ludowej, zamierzają wziąć gremialny udział zespoły redakcyjne; pragną jednak mieć wskazówki, jak to zrobić najlepiej.

Czekamy więc na zapowiedzianą broszurę. Nie rozwiąże ona wszystkich trudności, ale może wiele pomóc. Resztę powinny uzupełnić konferencje, kilkudniowe seminaria, oraz specjalne kursy dla redaktorów gazetek gromadzkich.

Jeśli gazetka gromadzka „stanowi mocny oręż w walce klasowej", to trzeba redaktorów nauczyć, jak nim umiejętnie władać.

Grzegorz Miernik



Kolchida — wasza i nasza

(Dokończenie ze str. 1)

po regulacji brzegów i pogłębieniu dna rozszerzy się sieć wodna tanich dróg transportowych."

Oto zadziwiający wpływ „Kolchidy". Białasek i Stypuła przeżyli ją nie jak powieść, ale jak rzeczywistą podróż i gościnę na „radzieckich zwrotnikach". Bo tylko w takiej sytuacji dochodzi nieodwołalnie do uprzejmego pytania gospodarza — „a jak tam u was"?. Podziwiać książkę, która takie pytania nasuwa. Podziwiać czytelników, którzy poczuwają się do odpowiedzi.

*

Jak wolicie, może to być sam autor, mogą to być jego bohaterowie, inżynier Gabunia, uczony Pachomow, botaniczka Niewska — faktem jest, że Białasek i Stypuła weszli z nimi w przyjaźń, znów chciałoby się powiedzieć, ściślejszą i żywszą, niż to bywa z bohaterami powieści. Oczywiście czytali tylko powieść, ale w ich listach to, co mają szczegółowo do powiedzenia, adresowane jest nie do redakcji, ale adresowane wprost do twórców nowej Kolchidy. To z nimi toczą rozmowę chłopi z Rzeszowskiego i z Podhala. Nam — w redakcji — przypadło w udziale tylko przysłuchać się tej rozmowie.

W „Energii" Gładkowa **przy budowie** Dnieprostroju obecni są amerykańscy i niemieccy specjaliści, goście nadęci pychą i lekceważeniem. Ale w miarę rozwoju robót i budowy, pycha i lekceważenie ustępuje miejsca zdumieniu i podziwowi, który wprawia w bezsilną wściekłość tych „doradców", a w rzeczywistości wrogów, agentów imperialistycznych mocarstw.

W Kolchidzie Paustowskiego nie ma żadnych gości zagranicznych. „Speców" od dawna już Związek Radziecki nie potrzebuje, upłynęło ponad 20 lat od czasu budowy pierwszych gigantów socjalistycznej industrializacji. Na Kolchodzie dziś mogli by się pojawić goście właśnie tacy chłopi, jak Białasek i Stypuła, którzy powiadają, że **tylko** w ustroju socjalistycznym, **że dopiero** w nim możliwe są takie gigantyczne przeobrażenia klimatu i przyrody. Historia poszła naprzód Związek Radziecki posiada najbardziej nowoczesny przemysł, najbardziej nowoczesną technikę, najwyżej rozwiniętą naukę i najśmielsze podejmuje przedsięwzięcia w przekształcaniu i wykorzystaniu sił przyrody. Związku Radzieckiego nie otacza już „kordon sanitarny" imperialistycznego okrążenia, otaczają go Demokracje Ludowe, państwa i narody, które weszły na drogę, jaką ludzkości utorował po raz pierwszy Wielki Październik.

Ten nowy rozdział historii znów odnawia sprawę gości. Ale nie będą to już wrogowie, spece, nadęci bezgraniczną pychą i pogardą — będą to goście - przyjaciele. Młodsi bracia szukający w Związku Radzieckim wzorów, nauki i rady w pracach jakie podejmuje ich kraj, ich ojczyzna i oni sami.

Białasek pisze: **„Kolchida"** dodała mi **hartu ducha** w mojej pracy nad podnoszeniem wydajności płodów rolnych".

Wyobraźmy sobie opowieść Paustowskiego rozszerzoną o wątek polskich chłopów. Wnieśliby do niej swój podziw, ocenę wielkiej przebudowy Kolchidy, ale przede wszystkim wnieśliby swoje własne doświadczenia, troski i pomysły. W listach do redakcji przekazują je bohaterom „Kolchidy" — przekazują jakby w zażyłej z nimi pogawędce. Powieść to to, co tamci powiedzieli, a listy Białaska i Stypuły to jakby odwzajemnione zwierzenia: zaś u nas bracia to tak, a co wy na to? Wówczas Pachomow i Niewska nie mówiliby o „kolmatacji" i aklimatyzacji zwrotnikowych roślin trochę jak z katedry, jak na odczycie, wówczas słuchaczem byłby nie dopiero czytelnik, nieznany bohater poza książką, ale bohater imienny, osadzony w samej powieści.

Inna jest rola Pachomowa, Niewskiej, Gabuni, Czopa — oni tworzą nową Kolchidę, przy radzieckiej władzy — „radzieckie zwrotniki". Tymi zaś, którzy poznają te przeobrażenia, którym się wyjaśnia metody pracy i perspektywy wyników — byliby goście z zagranicy, o, tacy właśnie jak Białasek i Stypuła.

*

Posłuchajmy zwierzeń gości, którzy poprzez lekturę książki dostali się na Kolchidę i zadomowieni wśród gospodarzy-budowniczych dawaj im rozpowiadać o sobie.

Białasek przyczepiłby się do Niewskiej. Cytrusy, eukaliptusy, drzewa laurowe, ramie — zadziwiające to rośliny i niesłychane wyniki. Ale racz Towarzyszko ocenić nasze wysiłki. Nie próżnujemy. Na ten przykład ja posługuję się nauką Miczurina. Robię doświadczenia z odmianami pszenicy ozimej. I tak — odmiana Ostki Mikulickiej z obszaru 10 m kw. dała mi 1,62 kg, ostki złotokłosej — 2,10 kg, ostki osorczańskiej — 1,80 kg, ostki skomorowskiej—1,89 kg, ostki eka — 2,55, bezostnej, białej kleszczyńskiej — 2,05, wysoko litewskiej — 2.10.

Uprawa była jednakowa. Siew rzędowy tego samego dnia, nawożenie jednakowe, jednorazowe motyczenie międzyrzędzi.

Pszenica własna dała mi na tym stanowisku 13,5 q, A Piotr Tobis uzyskał z białej kleszczyńskiej 19 kwintali, odstawił państwu 4 tuczniki ponad plan, całe zaś jego gospodarstwo obejmuje tylko 2,80 ha. ziemi IV klasy. Wojna. Mieczysław uzyskał znowu dwa mioty w roku od maciory — po 18 sztuk, aż trzeba było cztery ssaki oddać sąsiadom, bo maciora miała tylko 14 sutek.

Oto widzisz Towarzyszko, jakie u nas zmiany w Krakowskim, gdzie ziemia licha, rozdrobnienie wielkie, a dawniej nędza z ciemnotą nas biły.

Uprawiam też miętę pieprzową. W tym roku miałem więcej masy, ale gorszego gatunku, z powodu dużych opadów liście pożółkły przedwcześnie. Ale i tak z 10 arów uzyskałem 91 kg suchej masy II gatunku po 6.60 zł za 1 kg. Drugi zbiór przewiduję na ok. 80 kg. Pierwszy zbiór nasion trawy wyprodukowanej przeze mnie z 30 arów dał 245 kg drugiego gatunku po 600 zł za 100 kg. Drugi zbiór przewiduję na 100 kg. Nie trzeba sprowadzać nasion trawy z zagranicy. Produkować możemy je w kraju z powodzeniem tak dla państwa, jak i dla rolnika, który dzięki dekretom ma dobry zamiennik za zboże przy obowiązkowym skupie.

Suwała przysiadłby się do inż. Gabuni i uczonego Pachomowa. — U nas w górach — zacząłby opowiadać — rokrocznie występują powodzie. zalewają pola uprawne, zrywają brzegi i mosty, poszerzają koryto rzeki. Walczymy dotąd miejscowymi siłami. Naprawiamy drogi i skarpy, oczyszczamy rowy, które odprowadzają wodę. Ale gruntowną przemianę sprawią dopiero zapory na Skawie, wtedy też użyje się wodę do poruszania tartaków, młynów i elektrowni. Praca taka wymaga dużego wysiłku całego narodu i wielkich nakładów inwestycyjnych, dlatego będzie się rozszerzała stopniowo, według potrzeb planowej budowy socjalizmu. Muszą też być przygotowane młode kadry techniczne i odpowiedni sprzęt techniczny.

Organizujemy w naszej gromadzie spółdzielnię produkcyjno - hodowlaną. Mamy owce rasy Cekiel górski, jesienią zostaną skrzyżowane z trykami Fryz, przez co otrzymamy lepszą wełnę i większą jej ilość. Rozwijamy też hodowlę królików rasy — srebrny francuski, bo dobrze się aklimatyzują. W pobliżu pracuje wielki kombinat bawełniany, który w przyszłości może również produkować materiały wełniane, a skórki królicze także są potrzebne dla naszego przemysłu.

Na stromych stokach, które woda zdziera, zabieramy się do siania traw, które umacniają ziemię. Także rozwijamy sadownictwo i warzywnictwo, bo jak wykorzystać zbocza i jak najlepiej małe skrawki gleby pod uprawę?

Wacław Palik

Kronika kulturalna

W obchodzie Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w województwie olsztyńskim przoduje powiat działdowski. Komitet organizacyjny nakreślił sobie szerokie plany: zwerbowania w całym powiecie do szeregów TPP-R 2.000 nowych członków, a tym samym znacznego zwiększenia ilości istniejących już kół oraz uaktywnienia słabo pracujących. W poszczególnych gminach i gromadach organizowane są odczyty, pogadanki i wystawy obrazujące życie w ZSRR oraz imprezy artystyczne. Na czoło wybijają się gminy: Iłowo, Rybno, Kielpiny, Piłośnica i Lidzbark. Ponadto dużą frekwencją cieszą się kursy języka rosyjskiego, których 20 zorganizowano w tymże powiecie.

Przodujące miejsce powiat działdowski zawdzięcza w dużej mierze aktywności Zarządu Powiatowego ZSCh, który organizuje wycieczki chłopów do szkoły rolniczej w Gródkach celem zapoznania ich z metodą hodowli roślin według radzieckich wzorów uprawy. Obchód Miesiąca Przyjaźni zakończony będzie wycieczką do Muzeum w Poroninie.

*

Listonosze białostoccy zadokumentowali zrozumienie swej roli propagatorów czytelnictwa.

Dla uczczenia 36 rocznicy Rewolucji Październikowej oraz w związku z Miesiącem Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej skierowali do kolegów wszystkich województw apel o wzmożenie upowszechnienia czytelnictwa prasy radzieckiej. Apel swój poparli zobowiązaniem wykonania planu prenumeraty prasy radzieckiej na rok przyszły w **110 procentach — w terminie o 5 dni** krótszym.

Apel ten niewątpliwie odbije się **szerokim echem** wśród listonoszy **całego** kraju.

*

W całym kraju trwają przygotowania do IV etapu konkursu czytelniczego. Wysuwającym się na czoło w zakresie organizacji i werbunku uczestników jest woj. rzeszowskie, gdzie liczba zgłoszeń do października br. osiągnęła 5.228 współzawodniczących. W mobilizacji do jesiennej akcji czytelnictwa obok Związku Samopomocy Chłopskiej bierze aktywny udział młodzież ZMP i SP. Szczególnie dobrze przebiega propaganda konkursu w rejonie Wiejskiego Domu Kultury w Twierdzy oraz w gminach Frysztak i Wiśniowa. Akcję konkursową wzmogło rozwijające się pomiędzy powiatami współzawodnictwo. Tak np. w pow. Przemyśl Zarząd Powiatowy ZSCh podjął zobowiązanie pozyskania 5.000 uczestników, a aktyw powiatowy wezwał do współzawodnictwa pow. Jarosław. Powiat przemyski w chwili obecnej może poszczycić się około 1.000 zgłoszeń do konkursu, z czego 150 jest z jednej gromady Buszkowice. Również w gromadzie Orłowa w pow. mieleckim, dzięki aktywności kierownika tamtejszej świetlicy, zgłosiło się dotychczas już 103 mieszkańców.

Powyższe przykłady niech będą mobilizującym bodźcem dla pozostających w tyle powiatów, by IV etap konkursu w pełni spełnił swe ważne zadanie — umasowienia czytelnictwa na wsi.

*

W oparciu o doświadczenia radzieckie w województwie waszawskim został uruchomiony pierwszy wagon-świetlica. Wagon ten przeznaczony został na prowadzenie pracy świetlicowej oraz wyświetlanie filmów w odległych od świetlic i kin miejscowościach, w których mieszczą się placówki PKP. W ciągu miesiąca wagon obsługiwał 10 do 14 miejscowości, gdzie 3-osobowa załoga wagonu w czasie kilkudniowego postoju wyświetlała filmy fabularne i oświatowe, organizowała odczyty i wykłady połączone z dyskusją, umożliwiając korzystanie z podręcznej biblioteki, czasopism i gier świetlicowych. W miejscach postoju obsługa wagonu radziła wspólnie z miejscowym aktywem nad możliwościami ożywienia życia kulturalnego. Dzięki dobrym wynikom działalności doświadczalnego wagonu-świetlicy, w najbliższym czasie podobne wagony zostaną uruchomione w innych województwach.

*

Do najbogatszych w kraju ośrodków wytwórczych ceramiki ludowej należy powiat łańcucki w województwie rzeszowskim, a szczególnie gromady Medynia Głogowska i Zalesie, gdzie pracują setki garncarzy. Wyroby ich odznaczają się różnorodnością i dużą wartością artystyczną. Upiększane są przeważnie ornamentami o takich motywach, jak kwiaty, liście, ptaki i zwierzęta. Do najlepszych garncarzy należą między innymi Emilia Chmiel, której specjalnością są figurki gliniane, młody Marian Piela wyrabiający zabawki dziecinne oraz Andrzej Ruta znany ze swych pięknych miniaturowych dzbanuszków i miseczek.

(Ciąg dalszy na str. 8)

JAN MAKARUK

Korzystajmy z doświadczeń

Zapowiedź ogłoszenia festiwalu sztuk dla zespołów amatorskich, żywo zainteresowała pracowników kulturalno - oświatowych.

Pamiętamy festiwal sztuk polskich z roku 1951-52. Nowy festiwal powinien dać jeszcze cenniejsze wyniki — tak ze względu na zbliżające się 10-lecie Polski Ludowej, jak i na możność wykorzystania poprzednio zdobytych doświadczeń.

Dotychczasowe doświadczenia wykazały, że zespoły przygotowując sztukę same się wychowują i działają wychowawczo na wieś — pod warunkiem, że sztuka jest umiejętnie dobrana, solidnie przez zespół przygotowana i dobrze wystawiona.

Jedno dobre przedstawienie — jak mówili uczestnicy na centralnych eliminacjach — więcej zdziała na wsi, niż wiele dorywczych, a więc słabo przygotowanych pogadanek.

W warunkach wiejskich dobre wystawienie sztuki wymaga pokonania wielu trudności — o tym zapomniano w poprzednim festiwalu. Repertuar sztuk propagowano zza biurka, nie według potrzeb i możliwości środowiska wiejskiego. Wskazane sztuki były więc albo za trudne do wystawienia, albo nie odpowiadały potrzebom środowiska, przy tym najczęściej niedostępne tak w bibliotekach, jak i na rynku księgarskim.

W takiej sytuacji wystawiano sztuki, jakie były pod ręką. Grano przeto sztuki z dużym nakładem pracy, ale z małym skutkiem wychowawczym.

Oczywiście, dobór sztuk wartościowych i możliwych do wystawienia w warunkach wiejskich nie jest łatwy, jest jednak nieodzowny. Oprócz sztuk o charakterze ogólnym trzeba przewidzieć sztuki (także pieśni i tańce) regionalne.

Należy także wzmóc troskę o wszystkie zespoły — nie tylko o te, które się wyróżniają na pierwszych eliminacjach, jak to wystąpiło nagminnie w poprzednim festiwalu.

Dobrze się stało, że dano pomoc zespołowi w Domanicach (pow. Siedlce), który doszedł do eliminacji wojewódzkich i wyróżnił się w nich. Jeszcze lepiej się stało, że w Zaniemyślu (woj. poznańskie) pomoc fachowa artystki teatru państwowego dopomogła zespołowi amatorskiemu do tego stopnia, że ze sztuką Fredry „Zrzędność i przekora" przeszedł pomyślnie eliminacje powiatowe i wojewódzkie, a na centralnych otrzymał nagrodę. Źle się natomiast stało, że zespół z Osin w powiecie siedleckim, podobnie jak i wiele innych, nie otrzymał pomocy, choć tak mocno jej potrzebował zarówno przed eliminacjami powiatowymi, jak i po nich. Do eliminacji przygotował się jak mógł najlepiej, ale w ostatnich dniach przed wyjazdem do Siedlec jeden z aktorów — pod wpływem wrogiej plotki — odmówił udziału na występach eliminacyjnych. Sądził, że przez to nie dopuści do wystawienia sztuki o tematyce spółdzielczości produkcyjnej. Kierowniczka zespołu, wbrew trudnościom, dniem i nocą — z dobranym w ostatniej chwili aktorem — ćwiczyła rolę i na eliminacje przybyła. Wynik był słabszy, ale opór wroga został przełamany. Zabrakło jednak pomocy w dalszym przełamywaniu piętrzących się trudności. Nikt jej nie udzielił, bo wszystkie wysiłki organizatorów powiatowych i wojewódzkich były skierowane na pomoc dla tych zespołów, które miały lepsze wyniki, „lepiej wypadły". W rezultacie dano pomoc kilkuset najlepszym w kraju zespołom, a kilka tysięcy zespołów, najbardziej potrzebujących pomocy, wcale jej nie otrzymało. Skutek? Wiele z nich osłabło w pracy, a niektóre rozpadły się.

Niedostateczna również była troska o równomierne wykorzystanie zespołów do wyjazdów sąsiedzkich z przygotowaną sztuką. Jedne były wykorzystywane tak często, że odbijało się to na pracy zawodowej członków zespołu, a inne nie wyjeżdżały wcale, zadowalając się wystawieniem sztuki w swojej gromadzie.

Podobnych niedociągnięć było wiele. Trzeba, aby je sobie przypomnieli organizatorzy nowego festiwalu. Bo wtedy unikniemy poprzednio popełnionych błędów.

Jan Makaruk

Jak żyją nauczyciele wiejscy w USA

(Dokończenie ze str. 6)

trakcie, który muszą podpisać nauczycielki jednego powiatu Karoliny Północnej: „Przyrzekam powstrzymać się od tańca, od chodzenia w krótkich spódnicach i od wszelkiego innego prowadzenia się w sposób uwłaczający godności nauczycielki. Przyrzekam nie spotykać się z żadnym mężczyzną, chyba że będzie to związane z działalnością kościoła. Przyrzekam nie zakochać się w nikim, nie zaręczyć się i nie wziąć potajemnie ślubu. Przyrzekam spać co noc 8 godzin, jeść ostrożnie...".

Profesor Odegard dodaje: „Nie wszystkie komisje szkolne wystawiają aż tak bezsensowne kontrakty, lecz prawie wszystkie przeprowadzają ścisłe dochodzenie co do osobistego i najbardziej intymnego życia kandydatek na posadę nauczycielki".

Tak oto nauczycielki wiejskie traktowane są w szumnie wychwalanej „demokracji" amerykańskiej. Ich ciężkie warunki życia natchnęły amerykańskiego profesora Howarda K. Beale do napisania utworu pt. „Czy nauczyciele amerykańscy są wolnymi ludźmi?". Książka ta ukazała się w 1936 r. w Nowym Jorku".

Powstaje jednak pytanie: po co władze szkolne kraju dolara poniżają tak bardzo nauczycieli wiejskich? Jasną odpowiedź na to dał przeszło 20 lat temu reakcyjny dziennik amerykański „Columbus Dispatch", który dnia 3 lipca 1929 r. pisał cynicznie:

„Zgodnie z amerykańską tradycją oświaty, nauczycielka ma mało swobody, albo jej wcale nie ma. Za pomocą specjalnego systemu nadzorczego męczy się stale nauczycielkę i dokucza się jej, by utrzymać ją w posłuszeństwie".

Oto więc na czym rzecz polega. Władcy Stanów Zjednoczonych wszelkimi sposobami upokarzają nauczycieli i poniewierają nimi, by ich przygnębić, pozbawić wszelkiej samodzielności, przekształcić w bezwolne narzędzie swej polityki.

Wśród nauczycieli amerykańskich jest wielu uczciwych i sumiennych ludzi, pragnących wpajać w dzieci prawdę o obozie pokoju i o podżegaczach wojennych, o postępowych tradycjach narodu amerykańskiego i o antyludowej polityce obecnych władców kraju. Od wielu już lat panosząca się w USA reakcja, usuwa szykanami i terrorem ze szkół postępowych nauczycieli. Tak np. większość stanów domaga się obecnie od każdego wychowawcy złożenia przysięgi, że nie należy do żadnej postępowej organizacji.

W dużych miastach zorganizowani w swych związkach zawodowych nauczyciele toczą zawzięty bój w obronie swych praw. Rozproszonym w głębi kraju nauczycielom wiejskim jest o wiele trudniej przeciwstawić się bezprawiu, którego są ofiarami. Władze szkolne na wsi amerykańskiej zatruwają życie biednym nauczycielkom, by zmusić je do posłuszeństwa, do systematycznego wychowywania dzieci w duchu kłamstwa, wstecznictwa i nienawiści do człowieka, słowem by od dzieciństwa wychowywać pracujących Amerykanów na ślepe narzędzia polityki Wall Street.

W Ameryce, gdzie imperialiści szerzą kult dolara i przemocy, sytuacja działaczy na polu oświaty i kultury jest godna pożałowania. Szczególnie smutny jest tam los nauczycielek wiejskich, wiodących nędzny, na wpół niewolniczy żywot i znajdujących się pod stałą kontrolą inkwizytorskich i profaszystowskich władz imperializmu.

Paweł Leszak

Trzeba zaopiekować się rysownikami na wsi



Wykopki — rys. Jan Skowron



Żniwa — rys. Jan Aab



Wykopki — rys. Władysław Tokarz

AUTORAMI rysunków, zamieszczonych na tej kolumnie są młodzi uczniowie liceów dojeżdżający lub dochodzący ze wsi do szkoł. Rysunki ukazują szkice rodzajowe, karykatury i winiety. Warto zwrócić uwagę na szkice robione z natury. Nie wyglądają gorzej od wielu ilustracji utalentowanych rysowników, których zazwyczaj skazuje na schematyzm brak bezpośredniej obserwacji i znajomości życia wiejskiego. Warto również zwrócić uwagę na głowy kułaków. Nie brak młodym rysownikom inwencji satyrycznej.

Ta mała wystawa rysunków młodzieży wiejskiej stanowi dobrą okazję i przekonywający argument dla sprawy bardzo zaniedbanej. Dbamy o rozwój sztuki ludowej, folkloru pieśniarskiego i muzycznego, dbamy o rozwoj czytelnictwa i ruchu korespondentów. Ale o jednym z ogniw zapominamy do cna, o masowym naturalnym wyżywaniu się ludzi na wsi w rysowaniu. Poza rzeźbą, wycinanką, haftem i ceramiką pęd do rysowania szuka również ujścia bezpośredniego. Szuka, ale nie znajduje, bo w najbliższym otoczeniu mało o to dbają redakcje gazetek gromadzkich a w dalszym, jeszcze mniej — centralne, masowe pisma wiejskie i wojewódzkie gazety.

Wprost nie można zrozumieć, dlaczego redakcje masowych pism, do których docierają tysiące listów ze wsi, nie próbowały wezwać korespondentów do nadsyłania rysunków? Do dołączania do interwencyjnego listu szkiców — portretów krytykowanych osób, a narysowanych przez kogoś, kto we wsi zdolny w tej dziedzinie? Nie ma gromady, gdzieby nie znalazło się kilku takich amatorów rysowania. Z nieudolności śmiać się nie ma powodu, idzie wszak o masowe ożywienie pędu do jednej z najpiękniejszych sztuk. Jej również jakby folklorowy charakter tym bardziej przemawia za wzmożeniem pomocy, wraz ze stworzeniem warunków dla społecznego użycia udanych rysunków w gazetkach, pismach masowych i wystawach świetlicowych.

Centralne pisma masowe i gazety wojewódzkie winny wzmóc opiekę nad redakcjami gazetek wiejskich. Tam dochodziłby pierwszy przypływ rysunków. W Gazetce Gromadzkiej rysunki to połowa numeru. Stamtąd, (a także, bezpośrednio) niechże się one dostają na łamy gazet. W rysunkach ukażą chłopów zasłużonych i ganionych, ukażą sceny rodzajowe i okolicznościowe, krajobraz wsi, pracę itd.

W ten sposób pobudzimy rysujących po cichu i przy rzadkich okazjach do świadomego wysiłku, do nauki i rozwoju. Rozbudzimy w nich zapał i zamiłowanie, ukażemy im nowy odcinek frontu walki, a sami już oni przekonają się o doniosłości kulturalnej i politycznej swej sztuki.

P. Ch.

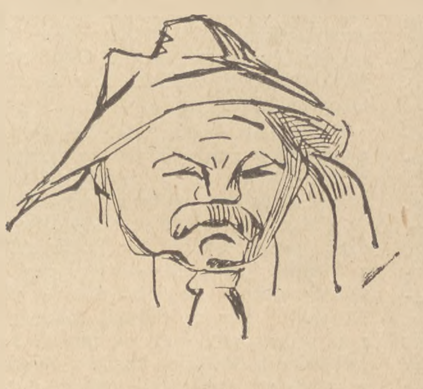


Skup zboża w Zalipiu — rys. Jan Skowron



Na placu odstaw ziemniaków rys. Jan Siek

Kułak w karykaturze



rys. Jan Siek



rys. Stanisław Kucia

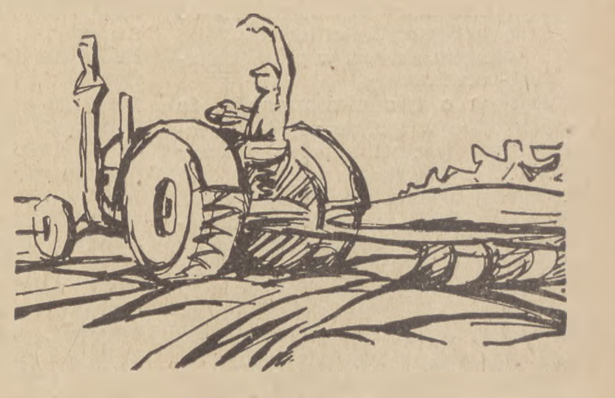


rys. Katarzyna Kaczor

Orka dawniej i dziś



rys. Jan Siek



rys. Jan Siek



rys. Marian Oleszczuk

TADEUSZ TOMKIEWICZ

ŁEBSKI SOŁTYS

Korycin — mała wioseczka pod Sokółką, „zapomniana przez Boga i ludzi" — jak się to niegdyś mówiło. Nikt by może o niej nie wiedział poza granicami powiatu, gdyby nie sołtys tej wioseczki, niejaki Zenon Nietupski.

Jak Korycin urósł w sławę dzięki swojemu sołtysowi, opowiem poniżej.

Nietupski był niezwykłym człowiekiem. Co prawda budową ciała, pięknością ani czymś podobnym nie odróżniał się od swoich korycińskich sąsiadów, ale głowa — encyklopedia!

— Łebski chłop, ten Nietupski — mówią (co bogatsi) sąsiedzi. — On zawsze jakoś wykombinuje, by wszystko było sprawiedliwie.

Bo też niemałe zasługi w historii sołectwa (czytaj: kumoterstwa) tej gromady położył Nietupski.

By sprawiedliwie kierować gromadą ułożył sobie plan, składający się z następujących 5 zasad:

B r a t e r s t w o. W praktyce wyglądało to: równy z równym. A więc: Sokołowski, Juszczak, Ciszewski i jeszcze kilku takich, którzy mieli 25, 30, 40 ha, to byli bracia (po kieliszku). Swoją miłość braterską udowadniali często gęsto przy stole obficie zaopatrzonym.

— No, to cyk! Józiu!

— No, to cyk! Olesiu!

Drugą zasadą sołtysa, była s p r a w i e d l i w o ś ć: wszystkim równo.

Co bogatszym zaświadczenie do gminnej rady — „bieda aż piszczy, nie może wykonać planu". Biedniejszym — szarwark. Bogatszym — przydział węgla. Biedniejszym — nakaz na podwody. I co, niesprawiedliwie? Wszystkim przecież coś się daje!

Trzecią zasadą była l i t o ś ć.

— Słuchaj, Olesiu — ty pomożesz Malinowskiej przy siewie; biedna kobieta, wdowa. To w ramach pomocy sąsiedzkiej... Broń Boże, nie za darmo! Żal mi przecież i ciebie. Tobie też trzeba pomóc przy żniwach. Dziady nie mają co robić, więc mogą pomóc... A przy tym w gminie okażesz, że u nas pomoc sąsiedzka na sto dwa.

Czwartą zasadą było u ś w i a d a m i a n i e ludzi.

Ponieważ wszystkie zasady łączyły się w jedno, więc były też różne podejścia (patrz: zasada pierwsza).

— Co, do cholery! Kiedy wreszcie podatek zapłacisz? Jutro każę cię aresztować.

A do swoich „bliższych"?

— Nie śpieszcie się, chłopy, z podatkiem... Może się coś wykombinuje.

I piąta najgłówniejsza zasada — p o k o r a.

Jeżeli, któryś z biedoty odezwał się „nieprzyzwoicie" pod adresem sołtysa, czy jego sąsiadów (czytaj: kumotrów) — sołtys wówczas pouczał jak kaznodzieja:

— Nie krzyczta, chłopy! Nie godzi się chrześcijanom żyć ze sobą w swarze. Nawet w piśmie świętym stoi: „Błogosławieni cisi, albowiem oni ziemię posiędą".

Miał jeszcze więcej swoich zasad Nietupski, ale nie były one jeszcze należycie rozwinięte. Wiedział na przykład, że przed władzą trzeba grzecznie usprawiedliwiać się nawałem pracy; że protokoły z lustracji przeciwstonkowej mogą podpisać: Sokołowski, Janczak i inni (zwłaszcza ci, którzy nie byli); wiedział, że w gromadzie prowadzi się ostrą walkę klasową (z biedotą). Dowodem tego był fakt „rozkułaczenia" Sokołowskiego przed dwoma laty. Temu biedakowi rodzina i krewni zabrali całe 35 ha, pozostawiając mu jedynie 5 morgów piasku. Wiedział też Nietupski, że korespondentowi trzeba zawsze schlebiać, czapkę przed nim uchylić, bo...

— Cholera go wie, co on knuje! Może w gazecie omalować.

Nie przewidział tylko, jak zebrała się wielka burza nad Korycinem. Niektórzy powiadają, że było nawet „trzęsienie ziemi". Możliwe, bo „wytrzęsło" coś z 40 ha. Grom z jasnego nieba nie przeraziłby tak Nietupskiego, jak te różne komisje dochodzenia, protokoły...

Wreszcie zrozpaczony zaklął:

— Że to, cholera, zawsze ktoś wsadzi nos w nieswoje rzeczy!

Tymi słowami zakończyła się karta historii sołectwa Nietupskiego w Korycinie. Druga karta będzie trochę inna, bo piszą ją już władze miejscowe.

Tadeusz Tomkiewicz

Gazetka gminna

Kłopoty sportowców

Nie ma to jak GRN w Leśnej, pow. Żywiec! Ta dopiero toczy zawziętą i wciąż jeszcze nieskończoną walkę z młodzieżą. Może wygra, a może nie.

Leśna — to duża wieś, młodzieży nie brak. Postanowili tedy chłopcy prowadzić świetlicę. Podanie o przydział lokalu poszło. Odpowiedź także się „pośpieszyła". Świetlica jest przy szkole, drugiej nie potrzeba. Tymczasem ów szkolny pokoik przypomina raczej kostnicę. Mówić głośno w nim nie wolno, a już śpiewać, tańczyć, ćwiczyć recytacje — ani mowy. Jeszcze by się pan kierownik szkoły obudził! A mieszka za przepierzeniem.

Wobec tego założymy LZS — powiedzieli sobie młodzi. I tak się stało. Nieużytek na boisko znaleźli, podanie do gminy o przydział poszło. Odpowiedź przyszła szybko. Nic z tego, koło nie ma sprzętu. Urządzili tedy sportowcy kilka wieczorów artystycznych, pieniądze zebrali. Sprowadzili sprzęt. Nie pomogło. Nie macie instruktora — oświadczono w GRN.

Wysłano więc kol. Biela na przeszkolenie do Krakowa. Także nie pomogło. A plany urzędowe boiska macie? Nie? To się pożegnajcie ze sportem.

Sprowadzili chłopcy inżyniera; ten obejrzał nieużytek, plany chętnie sporządził. Ale i to nie pomogło. W planach GRN boisko nie zostało przewidziane.

Nie było innego wyjścia. Członkowie LZS napisali do nas list, prosząc o interwencję. Nie ma obawy, tym razem pomoże.

JERZY SMUTNY

(Na podstawie listu zbiorowego młodych sportowców z Leśnej).

Wędrowny ptak

Żyje w gromadzie Hanuszów, gm. Złotogłowiec, powiat Nysa. pewien niebieski ptak nazwiskiem Leon Rudnocki. Ptak ten wędruje sobie od gospodarstwa do gospodarstwa, wyjada co lepsze kęski i frunie dalej. A im więcej ziemi porzuci, tym lepiej mu się wiedzie.

Na swojej gospodarce długo miejsca nie zagrzał. Zabrał siewnik i wialnie — i przeniósł się do Zabarczanego Mariana.

Nasz ptak wędrowny — to figura, powie otwarcie sołtys. Nie miał tedy kłopotu z wyrzuceniem Zabarczanego. Ale i tu popasał krótko. Zabrał siewnik, wialnie, brony talerzowe i ruszył do Paralusza Michała. A zaszczebiotał mu tak pięknie, że się chłop zdecydował objąć poprzednie gospodarstwo Rudnickiego.

Ale i na nowym miejscu długo nasz wędrowniczek nie siedział. Zabrał siewnik, wialnie, brony talerzowe, młocarnię — i osiadł na gospodarce Szymona Kowala, który wyjechał właśnie do Nysy na stałe. Po kilkunastu dniach zabrał siewnik, wialnie itd. — i wylądował przed domem Jana Iżaka. I tak mu ładnie zaszczebiotał, że Iżak zdecydował się pójść na ziemię Kowala. Nim się przeprowadził, nasz ptak pofrunął już do Leokadii Szparkowskiej, dokąd zabrał ze sobą 3 siewniki, młocarnię, kosiarkę, wialnie, brony talerzowe, grabiarkę i piękny spalinowy motorek.

Natułał się nasz ptak co niemiara. Czas mu było osiąść gdzieś na stałe. Został tedy na ostatnim miejscu, założył ośrodek maszynowy i żyje do dzisiejszego dnia spokojnie, patrząc jak mu rośnie mieszek.

Sprawdza się tedy przysłowie o ptakach, które ani sieją, ani orzą, a kto niedorajda, to ich żywi.

PIOTR PIGWA

(Na podstawie listu mieszkańca Hanuszowa. Nazwisko znane Redakcji).

Ojciec Gromady

Ojciec gromady Łąki Dolne, gm. Pilzno, pow. Dębica, ob. Kazimierz Armatys — to jeden z tych, co to wódki nie piją, ale jakby się trafiło — na zdrowie źle nie wyjdzie. Sławna z niego osobistość; dość wspomnieć artykuł, jaki się o nim ukazał w „Gromadzie — Rolniku Polskim" pod wymownym tytułem: „Sołtysie — tak się nie postępuje".

Ob. Armatys dopracował się własnych, rzadko gdzie spotykanych metod pracy. Polecenia szarwarkowe zamienił na „rozkazy". „Rozkazuję obywatelom takim a takim zwozić kamienie. W razie niestawiennictwa wkroczę na drogę służbową" — tak brzmiały owe rozkazy.

Powiedzcie sami: wymyśliłby coś podobnego jakiś inny sołtys?

Inna sprawa. Armatys jest doskonale powiązany zarówno z gminą, jak i macierzystą gromadą. W poniedziałki i piątki, kiedy to w Pilźnie odbywają się jarmarki, ujrzycie zawsze na rynku obywatela sołtysa. Krąży między wozami, wsłuchuje się w głos mas. I wcale nie żałuje grosza na zakup pewnego magicznego środka, który sprawia, że się ludziom rozwiązują języki. Na noc wraca szarwarkową furmanką rozśpiewany, pełen wiedzy o tym, co w gminie słychać.

Co zaś się tyczy związku sołtysa z gromadą — także narzekać nie można. Na weselu u ob. Mateja Andrzeja przecież był, podobnie na zabawie szkolnej. A nocą aż do rana szukał swego domu, ludzi budził, z każdym więc od serca pogadał, w każdą dziurę wpadł, w każdym rowie trochę się przespał. Jest że w kraju drugi taki sołtys, co by tak skrupulatnie, jak Armatys, poznał swoją gromadę?

A jaki z niego dobry ojciec! Doprawdy zrozumieć nie można, czemu chłopi chcą tak gwałtownie zostać sierotami.

JAN BIEGAŁA

(Na podstawie listu ob. Stefana Jałowca, kier. szkoły w Łąkach Górnych).

KRONIKA KULTURALNA

Świetlicowcy i kierownicy Wiejskich Domów Kultury! Zespoły Wszechnicy Radiowej! Miczurinowcy!

Wzorem lat ubiegłych Polskie Radio rozpoczęło nadawanie lekcji języka rosyjskiego. Począwszy od 19 bm. lekcje te są nadawane dwa razy w tygodniu: dla początkujących — w poniedziałki i i czwartki o godz. 19.10 w programie II; dla zaawansowanych — w poniedziałki i piątki o godz. 17.00 w programie I.

Teksty drukowane nadawanych lekcji dołączane są jako bezpłatna wkładka do każdego numeru tygodnika „Radio i Świat" w odcinkach arkuszowych, co pozwoli każdemu na skompletowanie sobie w całości podręcznika nauki języka rosyjskiego.

Cały aktyw polityczno-kulturalny powinien dołożyć wszelkich starań, by w każdej gminie i gromadzie było jak najwięcej słuchaczy lekcji języka rosyjskiego. Znajomość jego da im jeszcze większe możliwości czerpania z doświadczeń przodującego kraju socjalizmu, pozwoli na korzystanie z fachowych książek zawodowych i zapoznanie się z bogatą literaturą rosyjską i radziecką.

We wszystkich województwach trwają eliminacje powiatowe do I Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów. W województwie białostockim eliminacje takie przeprowadzili organizatorzy konkursu w powiecie Ełk. Większość recytatorów stanowił aktyw świetlic wiejskich ze Stradun, Juch i Nowej Wsi. Szczególnie dobrze przygotowała się świetlica z Nowej Wsi. Wytypowała ona ludzi, których zna z dobrych deklamacji wierszy na różnego rodzaju akademiach i wieczornicach. Do sześciu osób skierowanych na eliminacje wojewódzkie należy Teresa Dembkowska i Kazimierz Kuligowski właśnie z Nowej Wsi. Dużo wysiłku i to owocnego, co wynika z dobrego poziomu recytatorów włożyli nauczyciele szkół licealnych w Ełku.

Jak widać z tego konkurs był potrzebny i dobrze przemyślany. Dał on pojęcie o stopniu opracowania kultury żywego słowa przez aktyw świetlicowy. W toku konkursu wypracowane zostaną formy pracy zespołów recytatorskich i określona zostanie ich rola w świetlicy

Den

NOWE KSIĄŻKI

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 8-00-81.
Adres redakcji: Warszawa, pl Starynkiewicza nr 7.
Telefony: Red. Nacz. 863-86. Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13.80 zł, półrocznie — 27.60 zł, rocznie — 55.20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA", Warszawa, ul Marszałkowska 3/5 4-B-21310